

BIBLIOTEKA LUDOWA
POLSKA.

PAMIĄTKI

JPANA SEWERYNA SOPLICY

Cześćnika Parnawskiego

TOM VI

WYDANIE 20



PARYZ
KSIĘCARNIA LUXEMBURGSKA
16 ULICA DE TOURNON 16.

XX.00 307 86 38 +

BIBLIOTEKA LUDOWA
POLSKA.

PAMIĄTKI

JPANA SEWERYNA SOPLICY

Cześnika Parnawskiego

TOM VI

WYDANIE 2e



PARYŻ
KSIĘCARNIA LUXEMBURGSKA
16 ULICA DE TOURNON 16.



340825

6



KK 142/67/2
10.8

PAMIĄTKI

JPANA SEWERYNA SOPLICY.



VIX.

PAWLIK.

Za naszych czasów, wychowanie młodzieży nie było co do nauk tak wykwintne jak teraz, ale pożyteczniejszych wydawało obywateli. Polak z dawnych szkół wyszedłszy, był prawdziwym Polakiem : między tysiącem cudzoziemców, można było poznać z jakiego on narodu. Dzisiaj, czy to na Szląsku, czy na Litwie, czy w głębokiej Niemczyźnie, szkoła szkole podobna : jedne nauki, jedne zabawy, jeden rozkład czasu. Wychodzą z nich jacyś obywatele świata, którym zarówno mieszkać czy to w Rzymie, czy w Krymie. I to ma być wielki postęp, ażeby coraz więcej zacierać cechy szczególne narodowości, a utworzyć jakiś naród ogólny, światły, mądry, bez przesądów. Piękna myśl : ale chwala Panu Bogu, nic z tego nie będzie, a wszystkie wielkości mędrków nie zmieniają wyroku, który Duch święty nam objawił temi słowy : *et separavit Deus gentes, secundum linguas earum*. Bo jak nie ludzi to była rzecz zrobić aby

ten naród nie był innym, tak też nie dokażą aby nim być przestał. Nadwątlą dzieło Boskie, nadpsują; ale go nie zniszczą. Pan Bóg po czasie na swoim postawi; a ludzie przewrotni sami się zawstydzą, że na przekór Opatrzności tyle zaufali nędznemu rozumowi. Dobre były nasze szkoły, chociaż oprócz łaciny, obcych języków w nich szlachcie się nie uczył, i chociaż młodzież pod wasem, mniej umiała niż dziatwa dzisiejsza. Tactó szeroko rozprawiają, że ciemnota nasza robiła nas niesposobnymi do postawienia mocnego rządu; że moralność publiczna zniknęła była w zabobonach i klasztornych dziwactwach; że brak oświaty tak przytłumił uczucia uczciwości, iż u nas miano za zaszczyt brać jurgielta zagraniczne; że dopiero wtedy naród okazał się szlachetnym i godnym bytu, gdy Król Stanisław zaprowadził reformę w nauczaniu publicznem; i inne podobne zdania, któremi poruszają popioły naddziadów, a które tak często się powtarzają, że już im wierzyć trzeba. Ja przyznam się, że moim prostym rozumem nie pojmuję, jaki być może stosunek między rządem silnym, a tem co nazywają oświatą publiczną. Chyba że Moskwa i Turczyzna są narodami bardzo światłemi; bo już cież tam rządy nie są słabe. A co się tyczy jurgieltow zagranicznych, mój Boże! ezarne na białem widzą, a przekonać się nie chcą. Niewiele rubli i talarów weszło w kieszeń tych, co z Alwara wzięli swój rozum, i głowy sobie podgalali. Między fraczkowymi to, między tymi co po polsku z mu-

su tylko i z biedy mówili, a po zagranicach ciągle wędrowali, i pudrowali czupryny, można je było znaleźć stosami : wszak to oni przy sterze rządowym siedzieli. A czy to kontuszowi sprowadzili Moskali przy schyłku Augusta III? Czy kontuszowi nas poddali pod gwarancję Carowej? Czy kontuszowi podnieśli konfederację Słucką, Toruńską, lub zawiązali Targowicką? Czy to kontuszowi marszałkowali na sejmach podziałowych? Wszystkie spiski na Ojczyznę w języku francuzkim się knowały; a jeśli uwikłał się w paskudztwo jaki nieobaczny kontuszowy szlachcic, zawsze go do tego namówił *fraczkowy dworak, pełen poloru i oświaty. Wszakże nawet te zabójcze wyrazy, w nasz język wprowadzone, któremi sejmy podziałowe szafowały, a które my nie rozumiejąc powtarzali, nie ze szkół jezuickich ale z akademji zagranicznych do nas przywędrowały. Kiedy to my nie znali tego przebrzydłego zagranicznego rozumu, konfederacja Barska sześć lat się trzymała. Bo kiedy Marszałek Jeneralny ogłosił pospolite ruszenie, szlachcic nie brał na rozum czy to się uda lub nie, ale słuchał powinności, nie oglądał się na majątek, ani na żonę i dzieci : siadał na konia, i tam ruszał, gdzie prawo krajowe iść kazało. A kiedy nastąpiła konstytucja 3 Maja, za którą każdy z nas był gotów dać się umęczyć, że bardzo oświeceni ludzie zarządzili, ani pomyśleli ogłaszać pospolitego ruszenia. « To stara ustawa (mówili); trzeba naśladować ukształcone ludy, i tylko wojsku poruczyć obronę naro-

du. » To też po kilku tygodniach wszystko się skończyło. Oj lepszy nam był Alwar, niż towarzystwo ksiąg elementarnych. Po dawnych naszych szkołach, wszystko tak było jak w tej Rzeczypospolitej, dla której nas hodowano. Mieliliśmy nasze sejmiki, nasze sądy, biliśmy się w palcaty, robiliśmy obroty wojskowe, i wprawiano nas do Religji, na której się opiera polska narodowość. Wyszedszy ze szkół, czy wypadło urzędować, czy prowadzić chorągiew, człowiek nie przychodził do rzeczy obcej dla niego. A nadewszystko uczono nas, aby nie rozprawiać o powinnościach, ale je dopełniać.

Pan Ambroży Korsak Porucznik Piatyhorskiej chorągwi, a mój szczególny dobrodziej, miał lat przeszło siedmdziesiąt, miał wnuków już obywateli osiadłych, a przecie jak konfederacja Barska nastąpiła, wiekiem się nie wymawiał; bo pamiętał że zostawszy towarzyszem, jeszcze pod znakiem JW. Denhoła. Wojewody Połockiego, co umarł Hetmanem Polnym, przysiągł że na każde zawołanie gotów gardłować za ojczyznę. Czyby siebie oszczędzał czy nie, wszelako dziśby nie żył; bo kiedy padł pod Częstochową, miał lat siedmdziesiąt ośm, a już odtąd przeszło pięćdziesiąt lat minęło, i przecie nie był to człowiek przedpotopowy. Cóżby mu był za zysk, gdyby swojej powinności nie był dopełnił? A co zyskali zdrajcy ojczyzny, co Moskalom duszę przedali? Pieniądz jeśli nie został strwoniony, ktoś inny z niego korzysta, a naj-

częściej i niepotomek : male parta idzie do czar-
ta ; wiemy z doświadczenia że z grosza źle na-
bytego tertius heres non gaudebit ! To też Pan
Korsak bywało mawiał : — O życie nie dbaj, bo
ono nie twoje. Deus me custodiat (takie było
jego przysłowie), kiedym został towarzyszem,
jeszczem nie zarastał, bom z trzeciej klasy u-
ciekł do chorągwi, w której będąc dzieckiem
miałem sowity poczet, z łaski JW. Denhofa Wo-
jewody Połockiego, ojca nieboszczyka Hetma-
na, na którego dworze mój ojciec się wychował.
Rychło po zameldowaniu poszedłem z chorągwią
w Korelicką puszcę, dla łowienia rozbojników.
Otoż był z nami towarzysz miękkiego serca, na-
zywał się Szeliga. Kiedy my hultajstwo ścisnęli
w ostępie, a oni do nas dali z rusznic, Pan Sze-
liga placu nie dotrzymał i uciekł co koń mógł
wyskoczyć, aż pfe. Nam nie zaszkodził, bo hul-
taje po parę razy do nas spudłowawszy, co do
nogi poddali się, a nikogo z naszych nie straci-
wszy, zawieźliśmy powiązanych łotrów gdzie
potrzeba, i nielada zdobycz nam się dostała ;
siebie zaś nietylko że haniebnie spaskudził,
ale życia nawet nie ocalił : bo błędząc po lesie,
zmęczony dostał się do chałupy jakiegoś gajo-
wego, gdzie gospodyni w malignie leżała, tam
się zaraził i w kilka dni umarł. A gdyby był do-
trwał w powinności, byłby żył sobie zdrów. Na
całe życie to dla mnie było nauką. Ja tu będę ucie-
kał przed śmiercią, która może o mnie i nie my-
śli, a sam gdzieś się na nią natknę ? Lepiej ro-
bić swoją powinność, a na Pana Boga się spuścić,

Pan Korsak człowiek stary i doświadczony, miał mnóstwo dykteryjek do opowiadania, bo niejedną książkę można było napisać z tego co widział i doświadczał. Po zdobyciu Krakowa, kiedyśmy tam zimowali spokojnie, nim dopiero na wiosnę Moskwa odważyła się nas zaczepić, w dzień Ś. Ambrożego zebraliśmy się u Pana Korsaka, dla powinszowania mu rocznicy imienin. Było nas kilkudziesiąt z różnych województw; gospodarz wszystkim był rad, i beczka wina poszła na traktament. Nie można było nasłuchać się dość tego co opowiadał. Opowiadał nam, jako w początkach swojej żołnierki, będąc na służbie jeszcze u JW. Pocięja Hetmana W. Lit. w Wilnie asystował konno przy jego kolasie, a że ten Pan był wielce pobożny, kazał mu z sobą mówić rożaniec. Gdy więc z kolei Hetman zaczynał antyfonę : « O Marjo, ena dziewica, porodziłaś Królewica, Niebieskiego dziedzica » właśnie w tym samym momencie, obaczył pan Korsak, że z poprzecznej ulicy szła kolasa, w której siedziała pewna dama, o której córkę się starał. Puścił się tedy, damy rączkę ucałował, zawrócił konia, i w samą porę trafił by kończyć antyfonę : « porodziłaś bezboleści, zbaw nas smutku i żalości, zdrowaś Marja. Amen. » Tak to się JW. Hetmanowi podobało, że nie mógł rożaniec nie przerwać, by powiedzieć : — Mości towarzyszu, zgrabnyś! O waści pamiętać będę, — i wkrótce dał mu chorążtwo w tejże chorągwi. Z tego powodu ośm razy się rąbał z tymi, co do tej ran-

gi sami aspirowali. I inne podobne rzeczy mówił nam przy kielichu, że aż miło było, a nareszcie jakoś przyszło, że wziął się do opowiadania początków swojego zawodu w naszej konfederacji : bo on był z pierwszych co się do tego związku zaciągnęli, chociaż był Litwinem, a konfederacja Barska, jak wszystkim wiadomo, zawiązała się na Ukrainie.

— Moi Panowie Bracia, a raczej synowie, bo już chwała Pańu Bogu nie rok i nie dwa, jak ósmy krzyżyk zapisał się na mojej metryce, a pięćdziesiąt ośm lat się skończyło, jak osobiście służyć w kawalerji narodowej, nie licząc tych kilku, eo będąc zapisanym, w palcaty wojowałem ze studentami. I z Hajdamakami się ocierało, i ze Szwedami się obwachało pod Warką i Kaliszem, i siedmioletniej wojny coś się zaczęło, i w czasie ostatniego bezkrólewia za piecem się nie siedziało, i z Księciem Wojewodą Wileńskim po Wołoszczyźnie się tulało: a tak i wystarczyło i lat i siły, aby tu wam służyć. A nie wielka była sztuka śmierci mnie znaleźć. Jakoż ukąsiła mnie ona kilka razy, ale jeszcze nie zjadła, jak widzicie, i Deus me custodiat, tuszę że jeszcze nie jednego tam wyprawię, dokąd i samemu wkrótce pójść trzeba. Otoż Panowie moi, rok piąty temu, że pokój był po całej Rzeczypospolitej, stałem sobie spokojnie w Krożach z chorągwią której dowodziłem, jakby dziad do roboty niezdatny. To człowiek uczył towarzystwo iść gęsiego, lub ocierać się o szachownicę; to ich sprawy z ży-

dami sądził; to na delacje czopowe exekował: aż tęskno było że się próżnuje, cóż robić. Moskale przez Kroże idą a idą, a nie można im powiedzieć: a za się! chociaż chorągiew była dobrze pokryta, bo więcej pięćdziesiąt towarzysstwa, a ledwo nie dwa razy tyle szeregowych. Aż tu przywołuje mnie JW. Giedrojc Strażnik Litewski, od śmierci JW. Hetmana mój Rotmistrz, i mówi mi te słowa: — Panie Ambrozy, nie można wiedzieć co będzie; si vis pacem, para belli: ja bym rad moją chorągiew powiększyć, i na to mam konsens Helmana. Ruszaj więc Waść na Ukrainę, i kilkadziesiąt koni stamtąd przyprowadź. — Choć dziś JW. Panie: człowiek na tym towarze zęby zjadł.

Odliczył mnie JW. Strażnik sześćset czerwonych złotych obrączkowych, jeden w drugiego, które w trzos własną ręką zaszywszy, koszulę nim opasałem; a wzięwszy dwóch z towarzysstwa, i tyluż luzaków, ale których znałem jak mój sygnet herbowy co go na małym palcu noszę, że byli dziarskie chłopcy, nie czekając nazajutrz puściłem się w podróż, zdawszy moją chorągiew na Pana Chorążego Mikołaja Staniewicza, i doszedłem szczęśliwie do Cudnowa, dóbr dawniej do ordynacji Ostrogskiej należących, a teraz dziedzicznych JO. Księcia Marcina Lubomirskiego, który z nami służy. Tam się poznałem i ściśle zaprzyjaźniłem z Panem Czajkowskim Łowczym Kijowskim, a gubernatorem hrabstwa Cudnowskiego. To był zacny i dobrze myślący obywatel; więcej z przyjaźni, niż z po-

trzeby Księciu służył, bo jedną i drugą miał wioskę dziedziczną, i nieco grosza po ludziach. Pan Łowczy nie tylko że mi ofiarował swoją pomoc do kupna koni, ale wszystkich kozaków dworskich oddał na moje zawołanie, i pozwolił mi w zamku założyć kwaterę, i tam zbierać konie, póki z nimi nie wyruszę na Litwę. Jakóż, to tu, to tam po sąsiadach, w pierwszych tygodniach uzbierałem ze dwadzieścia koni, ale koni całą gębą. Wtedyto mi się dostał ten mój siwosz, coście go wszyscy znali, i co mi pięć lat wiernie służył, a który kiedy padł pod Opatowem, ledwom nie płakał jak po synu rodzonym. I sobie czekałem zdrów w Cudnowie, na kiermasz Berdyczowski, aby i resztę dokupić. Aż tu Pan Puławski Starosta Warecki, podnosi konfederację w Barze, i zaczynają biegać po kraju uniwersały powołujące szlachtę do pospolitego ruszenia; a Moskale szastają się po okolicy, jak szczury po szpichlerzu, tak, że Pan Łowczy w obawie by mi chudoby nie zabrali, radzi wyprowadzić ludzi i konie w puszcę Cudnowską. Ja mu na to: — Dobra i łaskawa rada W Pana Dobrodzieja, ale na sercu mi cięży rozkaz Marszałka konfederacji: — darmo, trzeba iść gdzie każą. — A on mnie: — Niech Pan Porucznik konie zbiera w lesie, gdzie bezpiecznie; a ja mu co będę mógł szlachty dostarczę. Lepiej w kilkadziesiąt koni służyć Marszałkowi, niż z dwoma towarzyszami przed nim się pokazać, choćbyś się cudem do niego przedarł z tak małą siłą.

Nie miałem nic do powiedzenia, tylko podziękować mu za łaskę; a on na niej nie przestając, sam chciał mnie przeprowadzić do Szyjeckiej Budy, gdzie mi naznaczył kwaterę. Naprzód tam moje konie wyprowadził z dworskimi kozakami, a nazajutrz samiśmy wyruszyli konno: nas dwóch, syn Pana Łowczego młody i piękny kawaler, i kilku dworskich. Zwyczajnie gawędziliśmy z sobą przez drogę. Opowiadał mi Pan Łowczy, że w puszczy Cudnowskiej ma swoje siedlisko zgraja Pawlika, sławnego zbójcy, która jest postrachem szczególnie żydów, gdyż nie jedno miasteczko złupił. Jakóż przed dwoma tygodniami, zapewne dla wywiadów, Gontar jego namiestnik, z dwoma hultajami, pokazali się na targu Cudnowskim z furą półdrabków, niby zwyczajnie pobereźniki. Ale szynkarz jeden, który już raz był w ręku Gontara, i niezawodnieby wisiał, bo już miał stryczek na szyi, jeno że na jego szczęście Pawlik trafem nadszedł i kazał go z duszą puścić obdarłszy do koszuli, poznał go, i zaraz pobiegł dać znać dworowi. Jakem się o tem dowiedział, dodał Pan Łowczy, ruszam czem prędzej na targ z kozakami: udało mi się złapać dwóch hultajów, ale Gontar jak w wodę wpadł; całe miasteczko do góry nogami przewróciłem, ani sposobu było go znaleźć. Mając przecie podkomendnych, kazałem ich w dyby zabić: cały dzień waly mi kopią około zamku, a w furdydze nocują. — Jam okazał podziwienie, że do grodu ich nie odsyła: ale Pan Łowczy na to:

— My nie w Litwie, u nas hajdamaczyzna cią-
gła. Gdybym ich do grodu odesłał, krótkaby
była sprawa : tamby ich powiesili nimby słońce
zaszło, a dopieroby mnie była bieda z Pawli-
kiem ; jednej nocybym nie przespał spokojny.
Z naszymi hajdamakami ani nadto dobrze, ani
nadto źle być nie można. Wiedzą oni że ich
dwóch w mojem ręku, z tego mi zysk : bo jak-
by szkodę zrobili, bez grodu kazałbym ich
wbić na pal : radzi nieradzi muszą być spokoj-
ni. — A ja mu : — A to piękną mieć będę
kwaterę w lesie ! Z deszczu pod ryne : ja kryje
konie przed Moskałem, a złodziej mi je zabie-
rze. — Pan Porucznik nieznasz ich obyczajów :
w Szyjeckiej Budzie będzie bezpieczniej niż
w Cudnowie. Hajdamaka ma wilczą naturę, ni-
gdy nie robi blisko swojego gniazda. Mamy tam
hute i karcznię, przy której co niedziela pełno
hajdamaków. Piją z fabrykantami, nawet dzieci
ich do chrztu trzymają : święta między nimi
komitywa, ani hajdamak fabrykanta, ani fabry-
kant hajdamaka nie zdradzi. W kassie bywa po
kilka tysięcy złotych, a daj Boże żeby ze stro-
ny kassjera i rachmistrza nie było więcej szko-
dy, niż od hajdamaków. Bywa często Pawlik u
naszego leśniczego, i ja go tam razu jednego
spotkałem, i mówiłem z nim udając że niewiem
co on za jeden, lubo leśniczy mi szepnął kto on
taki. Nie masz co mówić, sprytny chłop, a bar-
czysty, że nie życzyłbym trzem jego spotykać,
niedałiby mu rady. Pan Porucznik nieraz mo-
że go widzieć będziesz.

Tak rozmawiając szliśmy dalej w las ścieszkami, po których najmniejsza furaby nie przeszła. Chociaż konno, musieliśmy iść gęsiego za przewodnikami, aby co prędzej do Szyjeckiej Budy się dostać. W tem słyszeć się dały gwizdania.... To już mi nie dobrego nie zwiastowało, aż tu zaraz dwóch hultajów wyszedłszy z gęstwiny, zbliża się do nas i krzyczy: stój! Każdy z nich trzymał rusznicę w ręku. Pan Łowczyk koło mnie będący dobył pistoletu z ostry; ale ja na niego: — Schowaj mi zaraz W. Pan pistolet. W lesie wara z ognistą bronią, żeby jak wystrzelisz każde drzewo zato nie dało ognia: abo widać z kim sprawa? A jeden z nich, którego poznał Pan Łowczyk że to był sam Pawlik, przystąpiwszy do mnie: Widno że Pan bywalec: dalibyście sobie ducha, gdyby Paniecz był wystrzelił. — W tem gwizdnął przeraźliwie, i więcej może stu rozbójników wysypało się z prawej i lewej strony drogi. Pewnie jedna noga z naszychby nie uszła, gdybym Łowczyco wi był dopuścił wystrzelić.

Zbliżył się Pawlik do pana Łowczego: — A co Panie? czy mam Pana zabić w dyby, jak Pan moich ludzi. — Mój kochany, odpowiedział Łowczyk, ty wiesz że Cudnów nie mój, i że ja pańskiego dobra pilnować muszę. A kiedy który hultaj na rynku się pokaże, i o nim mnie dadzą wiedzieć, jeszcze przy ludziach, coby to powiedzieli gdybym jego nie ścigał? Ty nie do mnie miej żal, ale do mojego Pana, co w instrumencie wyraźnie zalecił, abym hajda-

maczyzną wypleniał; rozpraw się o to z nim w Warszawie, lub gdzie go znajdziesz, a mnie daj czysty pokój, a nawet podziękuj mnie że ciebie w lesie nie gabam. Niedawno Pan Regimentarz rekwirował bym z całego poddaństwa zrobił w lesie na was obławę; a ja to tem, to owem go zbywam, byście pokój mieli. Ty umowy nie dotrzymujesz z leśniczym: ziemięś jadł przysięgając, że w lesie nas zaczepiać niebędziesz; my za to na was przez szpary patrzymy, a teraz na mnie napadasz. Myślałem żeś uczciwy hajdamaka, a jak widzę z ciebie zupełne ladaco. — Albo ja nie szanował wielmożnego Pana i jego ekonomji? Onegdaj jeszcze spotkałem Pisarza jadącego z Budy do Cudnowa, i mówiłem z nim po Bożemu, niech sam powie. Jeszczem go prosił aby mnie skałek przywiózł, anim mu macał szarawarów, chociaż w nich tysiąc złotych było. A Wielmożny Pan moich ludzi w dyby pozabijał. Czy oni ~~szkodę~~ jaką robili, czy niechcieli bazarnego opłacić? Cóżto, czy już nam niewolno na targu półdrabek sprzedawać? Teraz moje na wierzchu: oddam za swoje. — I cóż na tem zyskasz jak mnie ukrzywdzisz? Niechno któremu z nas włos aby jeden spadnie z głowy, a ekonom Cudnowski o tem się dowie; na pałkę wbić obudwóch twoich podkomendnych, a potem jak z kozaków i wszystkich włościan Cudnowskich wyprawi obławę do puszczy, niewiem czy na tem zarobicie. Przyznaj że wam nieźle się dzieje w Hałacie: lepiej nas puść z Bogiem, licząc na

moję wdzięczność. — Ale! niech tylko poprobuje ekonom moich parobków zamordować, ja jemu nazajutrz żonę i dzieci pozarzynam, a Cudnów ze czterech stron podpale, że ściany na budę nie zostanie. — Ale mój Pawliku, gadajmy po ludzku. Czy ty zemstą swoją, choćby ci się ona i udała, swoich wskrzesisz, jak ich na pal wsadzą? Lepiej puść nas z Panem Bogiem, a ja twoich ludzi wypuścić każe. — Ja Wielmożnemu Panu już nie wierzę. Wszakżeśmy obiecywali nie dokuczać sobie. Od nas ekonomja Cudnowska krzywdy nie poniosła: nawet Pani Sosnowskiej possesorce Turczynówki, na jedno słówko Pańskie konie zabrane oddałem; a Wielmożny Pan moich niewinnych ludzi pozabierał, i dwie niedziele w dybach trzymasz, jakby jakich szkodników. Teraz Wielmożny Pan w inną dudkę dmiesz; jak puszcze was na słowo Pańskie, i Wielmożny Pan do zamku się dostaniesz, zaraz powiesz: «coto ja temu chłomowi mam dotrzymać obietnicy; abo to szlachcie żeby ze mną w umowy wchodził; a haki, a kleszcze na zuchwałego chłopca.» Czy ja was nie znam! — Panie Pawlik, wszak ja wam dobrze życzył: sam przyznaj, czyś mało łask doświadczył odemnie. Czy wam bronię leszczynę palić na proch: czy nie pozwoliłem trzem twoim parobkom ze skarbowemi podwodami iść do Krymu za rybą soloną; czy na Filipówkę niekazałem wam wydać, na twój znaczek, z magazynu całej kufy gorzalki? Przyznaj Panie Pawliku, że tobie w naszym lesie jak w raj. —

A ha ! teraz « Panie Pawliku » bo strach ma wielkie oczy : będzie tego dobrego gołemu za pazuchę. Ja Wielmożnemu Panu krótko powiem co być może. Niech Pan zostawi mi zakład, że moich ludzi odeszle, a ja Pana wypuszczę. Rozumie się, że na pamiątkę zostawicie mi co macie pieniędzy przy sobie.

Miarkujecie Panowie bracia, co tu się działo ze mną, który kilka set czerwonych złotych miałem przy sobie !

— Kiedyś tak niewierzący Panie Pawliku, odrzekł Pan Łowczy, puśćże mi syna i gościa, a ja u ciebie zostanę jako zakładnik. — Tak nie będzie. Ja Wielmożnego Pana puszcę, a syna zatrzymam : prędzej wykupi ojciec syna, niż syn ojca ; a Paniczowi się nic złego nie stanie, że u nas przenocuje. — Panie Pawlik, zmiluj się WPan nad moją żoną. Co ci ona winna, że ją w łyżce wody chcesz utopić : jak mnie bez syna obaczy, to jak Bóg na niebie, bez duszy padnie. — Wielmożny Pan znasz to, że mnie łatwo wziąć za serce. Wracajże Pan zdrów z synem ; ale ja bez zakładu nie zostanę : o!o ten gość Pański, co Paniczowi wypalić nie dopuścił, z nami pójdzie do Halacy, i tam będzie siedział, póki wola Pańska ; bo ja go nie wypuszczę pokąd ludzi nie obaczę. To wojak on z nami tęsknić nie będzie. — Panie Pawliku, nie rób mnie tej krzywdy żeby mój gość miał narzekać, iż mnie zaufał. Kiedyś tak nieludzki, wolejże i mnie i syna zatrzymać, a jego puszczaj : niech na mnie raczej największe nie-

sześćście spadnie, niżby mój gość najmniejszej przykrości miał doświadczyć.

Żal mi się zrobiło poczciwego Łowczego: — Mości Dobrodzieju, ozwałem się, niech Pan się o mnie nie troszczy, a z godnym synem i swoim dworem rusza sobie do Cudnowa: ja Panu Pawlikowi służę do jego Halacy. Wdzięczny mu jestem, iż mnie oszacował godnym być zakładem słowa WPana Dobrodzieja, i za dobrą opinię o mnie bardzo mu dziękuję. U niego źle mi nie będzie; wszak my oba żołnierze: ja Rzeczypospolitej, on własnej swojej sprawy; jakoś się porozumiemy. A Pan Łowczy jak mu ludzi odeśle, wiem że tyle Pan Pawlik grzeczny, iż mnie sam odprowadzi do Szyjeckiej Budy. Niech mnie szanowny Łowczy tu zostawi, a Wielmożnej Łowczyni nie zapomni moje ukłony złożyć. — Niechże Pan Bóg nadgradza szanownemu Porucznikowi, żeś się zlitował nad moją babą; a ja zaręczam, że niedługo będziesz się nudził. Tylko bardzo proszę Pana Pawlika, aby po ludzku obchodził się z Panem Porucznikiem. — Wielmożny Pan niech o to będzie spokojny: u mnie kto na gościnie, więcej waży niż rodzony ojciec. Ale jeszcze Pana Porucznika nie mam za gościa, i dla tego com już raz powiedział, teraz powtarzam: kto co z Panów ma pieniędzy przy sobie, proszę natychmiast o nie.

Pan Łowczy dobył z szarawarów sakwę, w której było kilkanaście Elizawetnych rubli, i te oddał mu dodając: rozbierz mnie do koszuli kiedy wola, jakem sodalis i halerza nie

znajdziesz. — Teraz do WPana Panie Poruczniku! — Pan Łowczy przerwał z pośpiechem: — Co WPan chcesz Panie Pawliku, znaleźć u żołnierza? Jeżeli ma kilka tynfów, czy i te już mu zabierzesz. Niegodzi się! — Wielmożny Pan już za sobą mówił, a Panu Porucznikowi Pan Bóg dał język, — i do mnie obracając się: — Czy Pan masz pieniądze? — Mam kilka złotych, i oto one. — A więcej nie masz przy sobie? — Więcej nic. — Niechże Pan da na to słowo szlacheckie i żołnierskie, a ja wierzę, — i podał mi rękę. — Otoś mnie zagadł Panie Pawliku! To darmo, bądź co bądź, a honoru nie splamię, — i dobywszy trzosa: — Masz go WPan; ale piekielną wyrządzasz mi krzywdę! To nie moje pieniądze, Rzeczypospolitej; a jakie ich było przeznaczenie, wszystko djabli porwali. — Wybaczaj Panie Poruczniku, powiedział Pawlik, każdy żyje ze swego: szlachcic z pańszczyzny, żołnierz z żołdu, żyd z łokcia i kwaterki, a rozbójnik z tego co mu Pan Bóg w cudzej kieszeni przyniesie. Bądź Panie weselszej myśli, bo smutek szkody nie wróci. A Wielmożny Pan Komisarz niech z Bogiem rusza nazad, i moich ludzi tu odeśle; tu na tem samem miejscu będzie ich czekał mój namiestnik: a jak była między nami przyjaźń tak i będzie, póki mnie Wielmożny Pan znówu nie zaczepi, bo ja pewnie nie zacznę. Pana Porucznika sam do Szyjeckiej Budy odprowadzę.

Tak Pan Łowczy ze swoim pocztem nazad, a ja z hultajstwem dalej; a takimi gęszczami,

że zsiąść musiałem i piechotą ruszać. Pawlik obok mnie, i wszystko pyta czym nieznużony, powiada że mnie nieść każe, i próbuje ze mną w dyskurs się wdąć: ale mi tak żal było mojego trzosa, że sto kuglarzy by mnie nie rozerwało. Co to Panowie, cała nadzieja uzbrojenia ludzi jak kamień w wodę upadła! To też nakoniec powiedziałem: Mospanie Pawliku, zostaw mnie w pokoju. Ja teraz na waszej dyskreacji; jak ludzie mówią, wiele złego dwóch na jednego, a ile z oka sądzić mogę, was więcej sta: nie wielka sztuka przymusić mnie abym dał w waszą dudkę. Ale jeśli łaska, nie wymagaj bym się bawił, kiedy smutek w sercu. Nie ma godziny jakem się dowiedział że wy na świecie jesteście, więc wam nic nie winienem; a przecież zabraliście mi pieniądze, które dał mi mój Rotmistrz na kupno koni do chorągwi. Za nie byłbym może kilkadziesiąt jeźdźców zbierał, i zaprowadziłbym ich do Baru. Poprzestańże na tem; ażebyś sam miał pociechę, to WPanu powiem, że jak z tem się pochwalisz przed Moskalami, na wielką u nich wdzięczność zasłużysz, boś im dogodził. Do mnie, jeśli łaska, nie gadaj: ja łąć nie umiem, i otwarcie powiem, że z tym tylko się bawię komum rad; a do W Pana mam żal, tem większy, że to nie moja ale ojczyzny szkoda. — Kiedy Pan się gniewa, do niego mówić nie będę; ale niech Pan o mnie jak chce trzyma, ja Pana bardzo szanuję, a jak go na swoim gospodarstwie przyjmę, to Pan się przekonasz, że czart nie

tak czarny jak go popi malują.

Wszystko to było dobrze, nie mogłem narzekać aby był nieobyčajnym, bo i z wielką grzecznością do mnie mówił, i tak czystą polszczyzną jakby rodowity szlachcic; ale tyle mi humoru popsuł, zrabowawszy mnie do szczętu, że nie mogłem się oddać, i szedłem zasepio-ny, jak myśliwy co niedźwiedzia spudłował. Niebardzo uważałem na szczegóły naszej podróży, bo i nie było czego uważać. Zwyczajnie bór i las, las i bór; do tego w naszej Litwie, człowiek z maleńkiego przywyknął. Aż zaszliśmy po nad Teterów, a taką gęstwiną, że słońca widzieć nie można było. Dopiero Pawlik podawszy mi rękę, prowadził mnie wlekąc nogę za nogą, prawdziwie z pieca na łeb, pod skałę, gdzie był otwór tak niski, że ledwo nie czolgając się weszliśmy. Ale ten otwór coraz się rozszerzał, pozapalano łuczyne, i tak rozjaśniało, że było widno jak wśród dnia na podwórku. Obaczyłem ogromną przestrzeń wykutą w głazie, i wrytą w ziemi: to było siedlisko rozbójników. A co za wygodne siedlisko, chociaż tam nigdy promień słońca nie doszedł. Sale, izby, a spiżarnie, a kuchnie, a składy, a piwnice, zgola jakby jakie podziemne miasteczko. Cała chalastra wnet się rozłasowała. A Pawlik taki gospodarz uprzejmy, a tak mną zajęty, że gdyby nie widok spelunki, i nie leśne facjaty jej mieszkańców co chwila przypominały żem u złodziei na gościnie, mógłbym myśleć że mnie jaki możny obywatel przyjmuje. Że to

była godzina obiadowa, motłoch się rozsypał, i każdy zajał ochłapa na jaki napadł, a Pan Pawlik zapytał mnie, czy pozwolę by ze mną siadł za stołem. Rozumie się że nie była pora o to z nim się targować. Kazał więc stół na dwie osoby nakryć, i wcale smacznym obiadem na farfurze mnie poczęstował; a dla zakropienia onego, garniec wytrawnego maślaczu był na stole. Po sztukamięsa, Pawlik za zdrowie moje srebrny puchar wina spełnił, a na wiwat, za danym znakiem, kilka samopałów dało ognia, że odgłos po całej speluncie kilkakrotnie się powtórzył. A że obiad był smaczny, nie dziwnego; bo jakaś Popadja z pod Wasilkowa, zakochawszy się w Djaczk, i dla niego porzuciwszy męża, z nim do Pawlika przystała. Djak do rozboju pomagał, a Popadja Pawlikowi za kucharkę służyła. Wszystko było dobrze i przyzwóicie; ale ta myśl, że człowiek krew i lzy pije, psuła wesołość; powtórę. ciężył na sercu smutek po własnej szkodzie, i więcej jeszcze wstyd, że pomimo naszego Statutu i naszych Konstytucji, złodzieje bezkarnie gospodarują i biesiadują na Rusi, pod bokiem prawie urzędu (bo do Żytomierza i dwóch mil nie było), a tu nie masz siły by takowemu bezprawiu koniec położyć. Ale cóż, kiedy Rzeczpospolita ciągle od postronnych napastowana, a tylko zajęta tém by swoją całość zachować, nie miała czasu ani do odetchnienia, nie tylko do urzządzenia siebie wewnątrznie. Nie temu co na łożu boleści ze śmiercią się pasuje, myśleć jakby sobie mie-

szkanie oporządził. Wszystkoby się u nas dało zrobić, gdyby ościenni nam dali pokój. I tak Panowie, chociaż w plugawem towarzystwie, jakoś frasunek się topił w lampeczce, że Panie Boże przebac, gawęda dla mnie zaczęła przybierać powabną. — Panie Pawlik, powiedziałem mu, kiedy tak się Panu Bogu podobalo, że pomimo tego iżeś mnie ledwo ze skóry nie obdarł, przecie u WPana stołu, za swoje zdrowie wzajemnie kielichy spełniamy, pozwól sobie zapytać, czy i ten koń mój gniady, z którego zleźć musiałem, aby jak waż przedzierać się z WPanem po zaroślach, a którego tu nie widzę, także *via facti*, został waszą własnością? — Pan Porucznik go znajdziesz w Szyjeckiej Budzie; zaraz go tam odesłałem. Że Pan pozwoliłeś mi się z sobą, to dla mnie tak wielkie szczęście, iż nie dopuszczę aby Pan ode mnie smutną wynosił pamiątkę. Na sercu mi leżało, że moich ludzi w dyby pozabijano; dla tego pozwoliłem sobie Pana Komisarza Cudnowskiego namęczyć, i teraz pewno nie go tyle nie frasuje jak to, że w jego przytomności trzos Panu zdarłem. Tyle tylko mojego, co go nafrasuję. A musiałem go ukarać, bo mnie niesprawiedliwość wyrządził; a przecie i moim ludziom trzeba pokazać że o nich dbam. Ale kto ze mną je chleb i sól, do mnie żalu mieć nie będzie. Wracam Panu trzos nietknięty; coś Pan tam włożył, to znajdziesz. Tem chętniej to oddaję, żeś Pan przedemną odkrył przeznaczenie pieniędzy. Ja choć nie szlachcic, przecie na tejże samej ziemi narodzi-

łem się co i Pan, i pewnie Moskałom przysługi nie zrobię.

Przyznam się wam Panowie Bracia, że to mnie tak rozczerwiło, że i podziękować nie umiałem, tylko serdecznie go uściśnąłem. Ale aż mróz po mnie przechodzi, jak wspomnę o tém co się z tego zrobiło. Jeden z hultajów szastający się około naszego stołu, widząc że mnie oddaje trzos brzęczący, odezwał się: — Nie-dosć że konia jego nie zaczepiamy, jeszcze i pieniądze temu Lachowi oddają. — A Pawlik jak się urazi, a porwie topór. — Jak ty śmiesz, mówi, sobaczy synu, wtrącać się do moich czynności! — a potem jak go palnie, na dwie części łeb się rozleciał. Dopiero Pawlik jak krzyknie: — Kamień u szyi przywiązać trupowi i w Teterew go rzucić, a ziemię obmyć z krwi; — a potem z wypogodzonym obliczem jakby zającą trafił, na nowo siadł u stołu, mówiąc mnie: — Niech Pan Porucznik nie uważa. Sam Panie jesteś wodzem, i wiesz dobrze że bez posłuszeństwa wojsko być nie może. Przepraszam, że przerwałem mu zabawę.

Przyznam się wam, że to była rzecz tak niespodziewana, że aż trzy lampy musiałem wypróżnić, nimem przyszedł do siebie! a potem pomyślałem sobie: kaduk was bierz; co mnie tam wasze prawa obchodzić mają: samiście się im poddali; a jak kto sobie pościele, tak niech się i wyśpi! Zresztą, prawdę powiedziawszy, czas mi leż z rozbójnikiem, bo już

do niego nie miałem żalu po zwrocie szkody, a i wino było smaczne, i rozmowa przyjemna. On mnie się wyspowiadał z całego prawie żywota. Był poddanym s. p. Woronicza Obożnego Koronnego, Dziedzica Trojanowa, bo w jego zamku się urodził z rodziców dworskich; i od dzieciństwa był u niego w wielkich łaskach: Tulki panu nakładał, potem do polowania mu asystował. Kazał go pan wyuczyć czytać i pisać, i pewnieby go liberował z kawalkiem chleba, gdyby nagle nie był skończył życia. A tak Pawlik osiadł jak na lodzie. Bo Obożny małoletnie dzieci tylko zostawił, których opiekunem będąc z prawa natury, ich wuj, Pan Szczyt Podkomorzy Piński, że nigdy nie mieszkał w Trojanowie, wszystko tam było na dykrecji rządców. Otoż Pawlik bardzo w widokach swoich upadł, zamiast u Pana, u komisarza będąc na usługach. Jeszcze mu tam z początku szło siako tako; ale pokochał się z synowicą komisarską, u stryja będącą na opiece, i jakoś ich komisarz nadszedł, gdy z sobą rożaniec już odprawiali: a jak nie bądź trudno opiekunowi być obojętnym na związki krewnej z poddanym, Pannę naprędce wydał za jakiegoś oficjalistę pod ręką będącego, a łatwo zgadnąć co Pawlika spotkało, lubo się z tem nie chwalił, tylko mówił, że niemiłosiernie skrzywdzonym został. Ja go nie bardzo za język ciągnąłem; ale można było domyśleć się jakiego rodzaju była ta krzywda, po zemście jakiej się nad komisarzem dopuścił. Wtedy już silna zgraja hajdamaków

osiadła była w puszczach Cudnowskich. Jój watażką był Bureczak, najniegodziwszy rozbójnik jakiego kiedykolwiek miała Ukraina. Nie było nocy w którejby jaki obywatel zrabowany nie został. Djabelby przed nim tynfa nie uchował. Jak napadnie bywało na dom, porwie gospodarza, na goły brzuch żar mu kładzie, i pótymucha, póki on mu do ostatniego szeląga nie wyzna. Dopiero czasem puszczał, a najczęściej zamordowywał, i bez końca pomnażał rozmaite okrucieństwa przed nim niesłychane. Rozjątrzony Pawlik do niego się udał, i pierwsza była jego wyprawa na zamek Trojanowski, który do szczętu zrabowawszy, komisarza powiesił do góry nogami, że go krew zalała. Kiedy w Żytomierzu porwano Bureczaka biesiadującego u kochanki, która sama podobno ostrzegła Gród o jego przybyciu, rozumie się że nie tracąc czasu urząd éwiartować go kazał ; ale już Pawlik odwagą i sprytem do takiej był wziętości przyszedł u rozbójników, iż go ten motloch na wodza jednomyślnie obrał. Równie śmiały jak poprzednik, a daleko bystrzejszy, nie plamił się podobnemi okrucieństwami, poprzestawał na łupieniu, a bezbronnym śmierci nie zadawał. Znacznie swoją komendę powiększył, bo do niego hultajstwo ze wszech stron się garnęło, aż na końcu robił trudności w przyjmowaniu, jakby jaki rtmistrz kawalerji narodowej. A była w nim jakaś żyłka uczciwości. Pewnego majątnego obywatela syn, już pod wąsem do szkół jezuickich w Żytomierzu chodzący, za

jakaś psotę w szkole obatożony, tak silnie to uczuł, że palając zemstą do niego chciał przystać: ale on nie chciał korzystać z uniesienia rozpacz, owszem zreflektował go przekładając, że mu będącemu szlachcicem, a zatem ze stanu wyłącznie poważanego w kraju nie przystoi zostać wywołańcem jak ni, co gdyby nawet i pocziwie chcieli się prowadzić, dla ich urodzenia, żadnego dobra spodziewać się nie mogą. I tak ukojony chłopiec do ojca powrócił Pawlik do takiej zuchwałości przyszedł, że otwarcie z ekonomjami w umowy wchodził, i one mu się opłacały. Niektóre mu corocznie haracz dawały, jakby jakiemu krymskiemu Hanowi, lękając się napaści. Kahał Piatecki płacił mu pięćset złotych na rok, które pobierał w jego imieniu garnarcz miejscowy, jego kum; a z tego nic mu się złego nie stało, bo ekonomja Piatecka nie śmiała go o to napastować. — Panie Poruczniku — mówił mnie — nie myśl Pan bym tylko był rozbójnikiem wojennym; masz we mnie wielkiego sprawcę sprawiedliwości: w całej Polsce przy mnie jednym jest jurydykcja między dziedzicem a chłopem. Jak dziedzic lub ekonom ukrzywdzi chłopa, a ten do mnie się uda ze skargą, zaraz posyłam żeby mu sprawiedliwość zrobiono, z groźbą, że inaczej tydzień nie minie, a tok z dymem pójdzie. Z początku ze dwa razy, dla przykładu, com przyrzekł tom dotrzymał; ale chwała Bogu nie masz teraz potrzeby tego ponawiać; bo w całej okolicy nikt już chłopa nad inwentarz nie zażywa.

Cóż powiecie Panowie bracia! trzy doby bawilem u Pawlika na gościnie, nie z musu ale z własnej ochoty; bo jeszcze téj samej nocy przybyli hultaje z Cudnowa odesłani, z listem do mnie od szanownego Łowczego, w którym tysiączne robił deprekacje, że z jego powodu tyle przykrości doświadczyłem, i prosił bym na bonifikatę mojej szkody, przyjął od niego dwadzieścia koni z ryszunkiem, które mi odeszle do Budy. A lubo jam go potem zapewnił, że Pawlik wrócił mi co był zabrał, pocziwy Łowczy swojej ofiary nie cofnął, i odesłał mi dwudziestu jeźdźców, którychem Jenerałności przedstawił swojego czasu. Mimo siebie puszczając wszelkie bezprawia, jakich nieraz Pawlik się dopuścił, tyle go znalazłem gościnnym i dobrze względem ojczyzny myślącym, że pomyśliłem sobie, Deus me custodiat: czegoż mnie wchodzić w cudze postęпки? wszak duch święty powiedział, nie sądź byś nie był sądzonym. I tak przez trzy dni ugościwszy, odprowadził mnie Pawlik do Szyjeckiej Budy, gdzie powoli zbierałem mój oddział; i nowo zaciężnych uczyłem obrotów, a on ciągle o wszystkim mnie donosił, że ani patrolów ani placówek nie potrzebowalem wysyłać.

Nie na tém koniec. Razu jednego wziąwszy mię na stronę, mówi: — Panie Poruczniku, między swoimi więcej trzydziestu ludzi wyrozumiałem, że myślą tak jak ja: wszyscy chcemy do Pana przystać, i ojczyźnie służyć. — Od Pana Boga wasza myśl natchniona: nie święt-

szego! — Ale ja Panu przyznam się że na mnie w Grodzie Żytomirskim leży dekret. Jak do Pana przystanem i pójdziem dalej, a kto z tych stron mnie pozna, to żeby mnie czasem konfederacja nie kazala powiesić? — Pluń W. Pan na to. A co to ja małowany, żeby m dopuścił aby skrzywdzono takiego, co pode mną służy? Już masz zasługi, których pewnie nie zamileczę; a jeśli jest jaki dekret, ten był ferowany na Pawlika herszta rozbójników, a nie na Pawlikowskiego prawdziwego syna ojczyzny, i jej zasłużonego dowódcę oddziału ochotników, walczącego w konfederacji za wolność i wiarę związanę: bo już jesteś dla mnie Pawlikowskim, i ciebie nigdy inaczej nie nazwę. — A jeśli Pan Bóg dopisze, a pokaże się żem się zdał na coś, czy konfederacja wyrobi mnie potwierdzenie tego nazwiska i szlachectwo? — Ani wątp o tem. Jak dobrze pójdzie, konfederacja w sejm się zamieni, i wszystkim zasłużonym da nobilitację; tak Pan Bóg przykazał i były takie przykłady. A nim do tego przyjdzie, kto będzie wiedział jaki twój ród? Ja przed starszym przedstawię cię jako szlacheica z Polesia, który moją prawą ręką jest; a kto mi odważy się kłamstwo zadać, z tym ja się rozprawię: a Porucznika Piatyhorskiej chorągwi w kaszy nie zjeść. — Pawlik jak długi padł mnie do nóg, i nazajutrz on i przeszło trzydziestu jego ludzi przedemną przysięgę wykonali. Tak tedy kiedy Pana Puławskiego w Berdyczowie oblegano, miałem więcej sta młodzie-

ży łebskiej, na dzielnych koniach, należycie uzbrojonej i odzianej. Chciałem mu jść na odsiecz, ale Pawlik mnie przekonał, że na kilka tysięcy regularnego wojska opatrzonego w armaty próżnoby było z naszą garścią o jakąś korzyść się pokuszać. Czego innego wkrótceśmy potem dowiedzieli. Pan Puławski broniąc się w Berdyczowie, tuszyl że go wybawi ogólne powstanie z Kijowskiego i Wołynia; ale Pano wie, Stempkowski Regimentarz jeneralny wojsk królewskich i Branicki wówczas Łowczy Koronny, oba zauszniki Króla Poniatowskiego, zniósłszy się z Moskwą w Kijowskiem nie dopuścili powstania, a co się tyczy Wołynia, szlachta tameczna rada że między sobą rozchwytała ordynację Ostrogską, wcale nie życzyła sobie by Rzeczpospolita została dość silną, aby o swoją własność mogła się upomnieć: wołała więc wedle swojego zwyczaju, patriotyzm przy kielichach wykrzycheć, niż się skromnie poświęcić dla ojczyzny. Znany całej Polsce honor Wołyński. Tak więc Pan Puławski siedział w forteczce karmelitańskiej, jak mysz w pułapce: ni naprzód ni nazad. Bronił się jak mógł, ale widząc że nie masz rady, o kapitulację prosił. I chyba głupi miałby to za złe. Jakoś umowa z Moskalami była dobra: bo choć oddał forteczkę i broń, ludzie swobodnie mieli iść na Pokucie, gdzie konfederacja silnie się trzymała; ale Moskał zwyczajnie jak Moskał, słowa i podpisu nie dotrzymał, i rozbroiwszy załogę, jako jeńców wyprawił wszystkich do Kijowa. Otóż tu

popisał się Pawlik, bo jakkolwiek mnie to przypisują łaskawi przyjaciele, przed Bogiem zgrzeszyłbym przywłaszczając sobie cudzą załugę. Z namowy jego poszedłem z nim dla odbicia naszych, chociaż ich pulk Dońców konwojował. Ale że on wszędzie miał swoje stosunki z poddaństwem, łatwo nam było przedzierać się między komendami nieprzyjacielskimi, bo każdy krok ich był nam wiadomy. Szliśmy więc manowcami, aby kozakom zastąpić drogę od kijowskiego gościńca. Pod Prądkiem nie mogliśmy ominąć silnego oddziału Moskali: było tego blisko dwóch tysięcy i cztery armaty. Myślałem że już po nas; ale przytomność Pawlika wszystkiemu zapobiegła. Bo gdy moskiewski Jenerał kazał zapytać co my za jedni, dokąd ruszamy, i za czym rozkazem; Pawlik odpowiedział: że jesteśmy chorągiew wysłana do Lisianki przez Pana Regimentarza partji Ukraińskiej, dla uspokojenia rozruchów tam wszczętych przez zbuntowane chłopstwo. W samej rzeczy już tam Żeleznik koliszczyzną rozpoczynał; a przytém posłużyło to nam bardzo, że nasi tak porządnie byli odziani, iż śmiało mogli uchodzić za kawalerję narodową. A że Moskale Pana Regimentarza mieli za swojego, i nawet wyraźnie im było zalecono, aby we wszystkim z nim się znosili, jakoś nam uszło, że Jenerał na tém poprzestał, i szczęśliwój nam życzył podróży, sam w swoją stronę postępując. My nazajutrz kiedy już dobrze zmierzchno, o ćwierć milki od Chodorkowa,

spotkaliśmy Dońców prowadzących naszych braci: mnóstwo było wozów, na których wyprawiano broń w Berdyczowie zdobytą. Dopiero jak przypuścim na nich! ani pomiarkować nie mogli z kąd ten piorun pada. Jednak bronić się zaczęli, i strzelali z pistoletów. A tu nasi w ich rękę będący, spostrzegłszy że o nich rzecz, dalej do wozów chwytać broń i uzbrajać się czempredzej, zwłaszcza że chłopci przy furach gwałtem z wsiów pozabierani, nie mogli dobrze życzyć tym napastliwym kozakom, i szczerze pomagali naszym drągami. Kozacy kilkunastu swoich utraciwszy, nie wiele myśląc w nogi. Tak odbiliśmy Pana Puławskiego i cały prawie garnizon Berdyczowski; a Pan Bóg nie dopuścił Moskałom aby cieszyli się ze swojej zdrady, zatrzymując jako brańców tych co obowiązali się swobodnie puścić. Pan Puławski szczęśliwy, że za naszą pracę a Rzeczypospolitą szczęściem, do wolności wrócił i nadal ojczyźnie mógł być pożytecznym, na moje przedstawienie mianował Porucznikiem w moim szwadronie Pana Pawlikowskiego, i odtąd pod tém nazwiskiem Pawlik między nami kursował. Sprawiedliwie dano mu drugi stopień w szwadronie, bo on najwięcej się przyczynił do jego utworzenia.

Pan Puławski nad nami objąwszy dowództwo, prowadził nas ze zwykłą jemu odwagą i przeczornością. Po drodze u szlachty tyle komi ponadostawał, że zpieszonych żołnierzy nowo w jezdzców przekształcił, i szczęśliwie złączył

się z JW. Potockim Podczaszym Lińewskim, na Pokuciu; a pocziwy Pawlik skończył właśnie jakby dla usprawiedliwienia przysłowia, że kto ma wisieć nie utonie. On utonął, bo nie miał wisieć, jak chciał tego kiedyś Grod Żyto-miński. Kiedy uchodząc na Pokucie przed Moskalami, wplaw przeprawiliśmy się przez Zbrucz, trzeba było takiego nieszczęścia żeśmy jednego tylko utracili człowieka, a tym właśnie był Pawlik. Widno że koń w którego ufał, musiał go zawieść; bo kiedyśmy na przeciwnym brzegu stanęli, ani Pawlika, ani jego konia jużemy więcej nie ujrzeli; a własnymi oczami widziałem jak był skoczył w rzekę. Szczerze-śmy go żalowali; ale cóż kiedy taka była wola Boża! Wierzajcie Panowie Bracia mnie staremu, że gdyby nie był marnie zginął, wysokoby zaszedł; bo to był rodzimy żołnierz; a do tego całą gębą kawalerzysta.

XX.

PAN RYŚ.

W naszej niegdyś Polsce, jak wszędzie, ale szczególnie u nas, fortuna się na kole toczyła: raz była na wierzchu, raz na spodzie; aby nikt się nie pysznił ani rozpaczał. Zdaje mi się, że Pan Bóg tak przykazał, i że to powinno być wszędzie. Ztąd wedle mizernego mojego pojęcia, nie chwali się owym narodom, niby od na-

szego kształtowniejszym, gdzie tak prawodawstwo urządzone, ażeby magnat nie obawiał się utraty kiedykolwiek swego magnactwa, a chudy pacholek nigdy się nie cieszył nadzieją wyniesienia się na magnata. Gdyż pierwszy ma obwarowaną ordynację, którą po nim starszy syn odziedzicza, a młodsi na okruszynach ojcowizny zmuszeni poprzestać, albo do stanu duchownego bez istotnego powołania wstępują, albo idą do wojska uciekając od stanu małżeńskiego, bo wedle ich wyobrażeń, ani żony utrzymać, ani dziatwy wychować stosownie do swego rodu nie mogą; a uboga szlachta choć równa w zacności, ale nie poparta naczelnictwem możnego ordynata, wstydząc się rzemiosła i kupieckich frymarczeń, cierpi niedostatek obok stanów podlejszych, zacierających ją ciągle wzrastającymi bogactwami. U nas, jako nieraz patrzyło się na potomka magnatów, zmuszonego ubóstwem cudzy a służebny chleb pożywać; tak też i chudy pacholek bywało, na magnata wychodzi, i orderzy dostaje, i do krzesła się dochrapie, i z mitrami się kolligaci. Bo jak powieje wiatr szczęścia na polskiego szlacheica, Bóg wie gdzie się on zatrzyma; potem wzbiwszy się w górę ród jego czasem podupadnie, a podupadłego magnata potomek znowu się podniesie: i tak ciągle szło u nas, by nikt w szczególności nie śmiał pomiatać tymi, co mniej pomyślną dolę mieli. U nas, jak wszędzie, nie wiele było znacznych; ale u nas jednych, wszyscy byli zacni. Żądł kiedy Minister czy Senator,

swojego szlachetnego sługę, lub okolicznego szlachcica nazywał bratem, ten czuł dobrze, że to nie było zwrotką obłudnej grzeczności, ale wyznaniem rzetelnej prawdy. Szeroko o tém bym mówił; ale na co się to przyda! wszystko już się skończyło. A z resztą, choćbym się rozszerzył, czy mnie rozumieją? Teraźniejszy świat czegoś niby chce, do czegoś dąży; ale sam nie wie do czego, i dojdzie tam gdzie się nie spodziewa. Ale porzućmy o tem: nie jestem proroikiem by rozprawiać o przyszłości, a wolę o tém pisać, na co patrzałem.

Moji rówieśnicy, których już niewiele, pamiętają jeszcze w Nieświeżu sławnego organistę Rysia; ba, po dziś dzień w kościele Świętego Krzyża, co niedziela i święto dają się słyszeć organy jego roboty. Nazywano go ordynatem Nieświeżkim, bo on był piątym czy szóstym, syn po ojcu, organistą farnego kościoła, a ta jego funkcja, niezgorszym kawalkiem chleba była uposażona. Miał i półwłóczę oromego gruntu, i piękną łąkę, i sad przy porządnym dworku, i trzysta tynfów, które wedle fundacji corocznie od kahału Nieświeżkiego pobierał. A koledy? wszakże opłatki, co pod koniec adwentu rozwoził po familji książęcej, zaczynając od Nieświeża o kończąc na Kojdanowie, za nielada folwarczek staćby mogły. Ekspensy prawie żadnej, bo w domu organista żył sobie zwyczajnie jak służka kościelny: to się zjadło, có się na gruncie urodziło; a choćby urodzaj chybił, od czegoż parafianie? Synowi sam dy-

rektorował: jeżeli miał jaki wydatek, to jedynie na utrzymanie galowego ubioru, który w dni świąteczne wdziewał, bo codzień i w domu chodził sobie w szaraczkowej opończy, jak okoliczny szlachcic. Ale na jego galową suknię warto było popatrzeć, kiedy na szarym końcu za stołem Księcia Hetmana w niej zasiadał, ile razy wypadła jaka uroczystość czy kościelna, czy familijna. Kontusz z aksamitu czarnego, żupan atlasowy tejże barwy, pas sakiewny srebrny, a na tém wszystkim z czarnej krepy krótki płaszczyk naksztalt paliuszu, i doktoratka; bo gdy organiści jako ludzie kościelni nie noszą szabli, płaszcz krepowy i doktoratka były dla nich oznaką dystynkeji. Książę Hetman go lubił, a szczególnie brat jego Książę Chorąży który sam niegorzej grywał na organach i niemi często się bawił, chwalać Boga w swojej Kojdanowskiej kaplicy. Ten zawsze nazywał go żartując, swoim kolegą. A trzeba wiedzieć, że Rysiowie byli z dobrego rodu, nawet tym samym herbem pieczętowali się co i Pocięje. Że o tém dobrze wiedział nasz Ryś i umiał to cenić, więc czy u Książąt paradnie występował, czy w kościele Panu Bogu śpiewał z wtórem, czy koło gospodarstwa się krzątał, zgola czy w aksamicie czy w szaraczkę, zawsze tak się nosił, by choć trochę przynajmniej dawały się widzieć karmazynowe hajdawery. A miał swoje koncepta, któremi i za uczonego i za krotofilnego uchodził; jakoż nie bez tego żeby odbywszy organistówskie wychowanie, nie był więcej

z książkami obeznany, niż ludzie światowi. Razu jednego kiedy JW. Rejten Podkomorzy Nowogródzki zjechał do Nieświęża dla rozgraniczenia Rudawki, majątku jezuickiego z ordynacją, do której sprawy wchodził i Ryś, bo właśnie jego łąka była na samem pograniczu, kilkanaście osób obiadowało u JW. Podkomorzego w polowej karczmie, gdzie był założył swoją jurysdykcję. Ponieważ gospodarz kazał sobie służyć i Rysiowi, siedział on za stołem z innymi, nie omieszkawszy przywdziać swojej doktoratki. Gdy więc jakto zwykle biesiadując, a zwłaszcza po prawniczych mozolach, szukano w dyskursie rozrywki, jakoś zapytał Podkomorzy, z kąd to, że Wielkanoc raz tego dnia, raz owego, nie tak jak Boże Narodzenie, co regularnie na dzień 25 grudnia przypada. Wszyscy przytomni brali to na rozum, a żaden nie umiał objaśnić, nawet umocowany OO. Jezuitów, lubo obcując często ze swoimi pryncypałami, mógł więcej niż inni znać kalendarzowe statuta. Kiedy tak wszyscy w rozumowaniach się plątali, spostrzegł Podkomorzy, że Ryś śmiejąc się ramionami wzruszał; ku niemu więc obrócił mowę: — A cóż to, szukamy, jak widzę, niedźwiedzia po za lasem. To Waścina rzecz Panie Organisto, bo księdza nie masz między nami. Wolałbyś nas oświecić niż ramionami ruszać, jak półmędek między żakami. — *Nemo sapiens nisi patiens*, JW. Panie, odpowiedział Ryś powstawszy i nisko się skłoniwszy. — Dwa lata trzeba chodzić na teologję żeby pojąć coto

jest kalendarz, i to jeszcze daj Boże. — Choć my teologii nie umiemy, czemuż po ciwuńsku nie masz nam rzeczy tłumaczyć. Czy to raz nam wypada mówić babie o prawach kiedy ma proceder, a choć w palestrze nie była, jakoś umiemy robić je dostępnymi do jej mózgownicy. Bo kto co sam zna tak jak potrzeba, ten łatwo objaśni nieświadomych. — Kiedy wola JW. Pana, to więc wyluszczę moją rzecz. Kalendarz przepisuje dla pożytku ziemi to, co Pan Bóg napisał na niebie; bo każda gwiazda jest literą. Podczas oktawy przesilenia dnia z nocą, Kanonicy katedralni wraz z Jasnie Oświeconym Pasterzem, czytają na niebie, a co wyczytają to i zapisują: z tego kalendarz i rubrycele, z tego kantyczki. Bo wszystko w kościele Bożym nakrecono jak godzinnik: Kanonicy piszą, Plebani czytają, Organistowie śpiewają i grają, wierni wtórują, a tak wszystko się obraca na chwałę Bożą, i pożytek ludzi. — Daj go katu, odpowiedział Podkomorzy, wielki z Waści mędrzec, jak widzę, Panie Organisto. Z tem wszystkim, winszuję temu, kto Waści zrozumie, a jeszcze więcej temu kto z tak licznem abecadlem tyle się obezna, iż się w czytaniu nie pomyli. — I bardzo się mylą, JW. Panie. Bazyłjanie naprzykład, że nie tak umieją czytać jak nasi, to też kalendarz Rusinów niepotem. Albo naszym nawet niepotrafią się, że nie wyczytawszy jak się należy niebieskiego pisma, obiecują na dzień ten lub owy pogodę, a tymczasem deszcz jakby na złość. Na co da-

leko szukać : terażniejszego roku, jak zapewniał kalendarz wileński, gryka miała nam urodzić, a posucha tak ją wysmalila, że onegdaj na kiermaszu w Stołowiczach ośminę po trzy tyńfy placono. A to wszystko dla tego, że Książę Biskup Wileński pojechał do Rzymu *ad limina Apostolorum*; a Kanonicy bez Pasterza łada po jakimu czytali.

Pan Podkomorzy na takowe objaśnienie parsknął od śmiechu, bo był sam uczony; ale niejednemu musiał się klin w głowę zabić, i ta dykteryjka o Rysiu, długo powtarzała się na dworze Nieświężkim. Dość że Organista Ryś, dudlając po klawiszach, a jeżdżąc po kolenkach, uzbierał sobie kilkadziesiąt tysięcy, które spadły na jego syna; ale ten odstąpił ojcowskiej spuścizny dalszym a ubogim krewnym, gdyż niedawszy się namówić do rzemiosła ojcowskiego, znalazł dostatki w innym zawodzie, przez co organy Nieświężkie, blisko od półtorasta lat dziedzicznie należące do Rysiów, wyszły z ich domu, a co przewidując stary, mocno się martwił. Trzeba wiedzieć, że wszyscy Rysiowie żenili się zawsze z córkami organistów, a swoje córki za ich synów oddawali, tak iż kiedy naszemu urodził się syn, Książę Chorąży co go do chrztu trzymał, przed ceremonją słusznie żartem powiedział: — Ten chłopczyk kantyczkową nutą kwilić będzie, bo z miecza jako i z kądzieli, samych tylko organistów w genealogji rachuje. — Ale ten żart w sprawiedliwą wróżbę nie został obrócony. Wszystkie zabiegi

ojca, by z syna mieć pomocnika, a kiedyś następcę, na nic się nie przydały. Lubo od piątego roku życia, już go zaczął poufać z organami, lubo przez dwa lata może mu jakie tysiąc batogów sypnął, by napędzić ochoty do muzyki; ani jednej nuty Karolek nauczyć się nie mógł, co tém więcej martwilo ojca, iż go Bóg dalszem potomstwem nie udarował.

Gdy Karolkowi siódmy rok się skończył, Ryś sporządziwszy pozytywek dla Księcia Chorążego, któremu imie było Karol, pojechał z synkiem do Kojdanowa na sam dzień S. Karola, by Karolek wręczył go JO. ojcu chrzestnemu, jakoby na wiażanie. Ale Księcia w zamku nie zastali, bo ten krył się przed swojemi imieninami w Starczycy, gdzie miał domek wiejski, a raczej folwark porządnie zabudowany, gdyż będąc wielce oszczędnym, tych zjazdów u siebie nie lubił. Pojechał więc Ryś do Starczycy, zawsze z synkiem, sam w swoim paradnym ubiorze, a synek z pozytywką w ręku i z pałasikiem u boku. Zajechawszy pod bramę, wysiedli oba z wózka, i szli sobie ku folwarkowi. Książę siedział za oknem, i patrzył się na dziedziniec. Kiedy chłopczyk za ojcem zbliżał się do ganku, żuraw przyłaskawiony, ale nieco napastliwy, zapędził się za nimi, a w tém Karolek rzuciwszy pozytywek, dobył szabelki, i jak palnie żurawia po szyi, powalił go o ziemię. Staremu aż mrowie przeszło po stawach, i nie dziw; bo jeszcze na Litwie taki się nie był urodził, coby nie drżał przed Księciem Chorążym, nie

wyjmując Księcia Hetmana, lubo ten był jego bratem starszym i latami i urzędem. Cóż dopiero miał czynić chudy pacholek! Ale Książę wyszedł na ganek, za boki trzymając się od śmiechu: — Zucha przywiozłeś do mnie Pannie kolego. Dziękuję za pozytywek; ale do niego musisz mi dodać ptaszka, co z nim się stawi. Ja go umieszczę między moimi paziami, i posunę go z czasem, że mu nigdy na kęsie chleba nie zabraknie. Sam widzisz że on nie do klawiszów stworzony. — I tak stary odjechał jeden do Nieświeżskich organów, a Karolek został na dworze książęcym.

Książę miał czterech paziów, synów majątnych obywateli; ubogie Rysiátko zostało piątym. Tamci od rodziców miewali częsty i suty grosz; a Karolek tylko ubior z łaski Księcia dostając, nie miał ani szeląga przy duszy. Ale w krótkce dał sobie radę, że kiedy niekiedy grosiwo kolegów do jego kieszeni się przenosiło; a to tym sposobem. Książę Chorąży po obiedzie nieco podochocony, miał zwyczaj parę godzin przesypiać, a paziowie w przedpokoju pilnując go, grywali sobie w halbecwelwe, żeby im czas schodził. Jakże Karolkowi z nimi grać bez pieniędzy? Otoż taką grę pustaki wymyślili. Paż stawi naprzeciwno Karolka pięć, dziesięć, czy tam wiele tyńfów: kiedy Karolek wygra, pieniądze jego; kiedy skrewi, musi Księcia pijanego i sennego, kartą po nosie uderzyć tyle razy, ile tyńfów szło na kartę. Czas niejaki mu się udawało; ale jednego razu gdy Książę ude-

rzony przebudził się, sądny dzień zrobił się w Kojdanowie. — Kto ciebie hultaju do takiej zabawy namówił? — zapytał Książę Karolka. — Ja sam siebie namówił, — odpowiedział chłopiec nie zmieszawszy się, — Kiedy mnie tak zuchwale odpowiadasz, obaczymy czyje będzie na wierzchu, — i natychmiast kazał mu pięćset łóz odliczyć, bo wiadome były porcje Księcia Chorążego. Prawdziwie Rysią miał naturę Karolek, że nie skonał z bólu, ale tak się zaciął, że ani jęknął. Książę co był świadkiem exekucji, lubo z przyrodzenia twardego serca, — powiedział: Jednak to niepospolite chłopię; — a po skończonej kaźni, zapytał go niby łagodniej, chociaż ta łagodność u innego, uchodziłaby za największe uniesienie: — Z jakiego powodu lotrze, śmiałeś twojego pana znieważać? — Ten mu na to: — Cóż miałem robić z biedy: wszyscy paziowie mają pieniądze, a ja będąc chrzestnym synem Księcia Pana, od czterech lat co mu służę wiernie, jeszcze szeląga nie dostałem. — Książę natychmiast darował mu pięćset tynfów, właśnie tyle ile łóz dostał, i postąpił go na pokojowego z oznaczeniem trzechset tynfów rocznej laffy, by swój nos nadal od szczonek ochronić.

Jak wyrosł Ryś, został dworzaninem, i coraz więcej wzmagał się w łaski swojego pana, dla wierności, odwagi. a szczególnie siły: bo podkowy łamał jak trzcinę, a szablą tak robił, że chyba jeden Wołodkowicz mógłby mu dotrzymać. Pojedyńki miewał częste, bo był zuchwa-

ły. Będąc dworzaninem Księcia Chorążego, gdy młody Książę Karol Radziwiłł, później Wojewoda Wileński, a wówczas Miecznik Litewski, przy kielichu powiedział mu: — Panie kochanku, pókiś przy ojcu siedział, nazywano ciebie Rysiem, ale odkąd przyłaskawiono na dworze mojego stryja, powinieneś nazywać się kotem, bo kot jest Ryś swojski. — Tak się Ryś oburzył, że ani go zastanowiło iż sprawa była z synowcem i spadkobiercą jego pana. Wręcz mu powiedział: — Ja nie Waszej K. Mości chleb jem, ale jego stryja; a moja służba nie rozciąga się do tego, bym od całego domu mego pana, miał przygryzki znosić. Ja taki szlachcic jak i Książę; a że mój ojciec głośniejsz Pana Boga chwali, Książę przeto nie masz prawa przekreślać mojego nazwiska, ile żeś mi go nie dał: i proszę natychmiast ze mną się rozprawić. — A Książę lubo przed Bogiem i ludźmi mógłby się wymówić z nieprzyjęcia wyzwania od dworzanina swojego stryja, jednak że sam był tęgim do korda, rad będąc spróbować się z graczem za jakiego uchodził Ryś, ile że go miał za dobrego szlachcica, pomimo perswazji swoich sług i przyjaciół, dotrzymał placu z niemalą szkodą swojego zdrowia, bo takie cięcie dostał wyżej łokcia, że kilka niedziel z izby nie wychodził. Książę Hetman, chociaż srogim był dla syna, tyle to uczuł, że pojechał do Kołdanowa skarżyć się przed bratem, iż jego dworzanin syna mu okaleczył. Jeno Książę Chorąży mu odpowiedział. — Niech Książę brat da temu

pokój. Nasz Miecznik tak mi jest miły jak samemu Księciu; bo nie mając dzieci, mam go za syna, i dla niego pracuję. Ale sam się żalisz że jest niespokojnego umysłu: więc jak raz i drugi oberwie za swoje, to może się opamięta. Nakoniec za co mam karać Rysia, kiedy urodziwszy się szlachcicem, postąpił po szlachecku? — I tak ta burda nie zaszkodziła Rysiowi, nawet na przyszłość; bo jak Książę Karol odziedziczył Nieśwież, jedną z pierwszych jego czynności było posłać jemu mundur Albeński, a po śmierci stryja, przywiązał go ściśle do swej osoby. Wkrótce po tym pojedynku, Książę Chorąży jakby dla okazania, iż przeciw niemu sierzdliwości w sercu nie miał, wypuścił mu dożywociem Wileczyznę, wioseczkę niewielką, o pół mili od Kojdanowa, ale z dobrymi gruntami. Ta wspaniałość Księcia wydawała się tem dziwniejszą, że ludzie z większemi i dawniejszemi zasługami, nie u niego wskórać nie mogli, gdyż on był z malej liczby Radziwiłłów, co tylko o sobie pamiętali.

Ryś bynajmniej nie poprzestawał na dochodach swojego folwarku, i znaczne długi porobił, a wszystko na stroje: bo niczego nie oszczędzał na przyozdobienie swojej osoby. I była tego warta: kiedym go poznał, to już był niemłodym, a jednak jeszcze tak pięknym, że nie można się było na niego napatrzeć. Toteż sam wiedząc o tem, lubił ozdobnie się pokazywać. Ledwo nie co dzień co innego było na nim. Nikt ani tak litych pasów, ani tak kosztownych spinek,

ani tak pięknych aksamitów i lam nie miał, a wszystko z dziwnym smakiem umiał zastosować. Nadzwyczajne przytem miał szczęście do ludzi: zawsze będąc w potrzebie, ustawicznie prosił o pożyczenie pieniędzy, i zawsze ich dostawał, bo każdy jakby oczarowany prośbą, dawał nie pytając o ewikcję. Co większa, choć ledwo dwudziesty czwarty rok mu się kończył, choć żadnego by najmniejszego urzędnika nie miał w swojej koligacji, choć morga ziemi dziedzicznej nie posiadał, a miał długów więcej niż włosów na głowie, przecie został obrany deputatem z Województwa Mińskiego na Trybunał Litewski, pod łaską Księcia Karola Radziwiłła, właśnie jakby się urodził Książątkiem lub Jaśnie Wielmożnego synem. A choć w urzędowaniu więcej pilnował tańców niż dokumentów, ta deputacja była powodem, iż raptownie został moźnym.

W Wilnie gdzie w tym roku agitował się Trybunał Litewski, bawiła na opiece u stryja, Panna Kietliczówna, córka owego sławnego facjendarza Kietlicza, który prawie z niczego zacząwszy, ogromny majątek zostawił małej siołce swojej jedynaczce. Ono w czasie siedmioletniej wojny więcej miljona zarobił dostarczając żywności wojsku moskiewskiemu ciągnącemu przez Litwę do Prus. A ta córka, była tak dobrze jak zaręczona już Panu Łopotowi, któremu szczególnie sprzyjał opiekun panny. Ale jak ją poznał nasz Ryś, wkrótce ją odkochał. I nie dziw; bo Pan Łopot acz zacny i godny kawaler,

ale jednak w możnym domu wychowany, był sobie zwyczajnie papinka : wszystkiego się obawiał, lada wietrzyk bywało nie wyjdzie na podwórze, jeno z twarzą w pieluchy obwiniętą; a kiedy w piątek ryby zje odrobinę, to już nazajutrz kilku doktorów przy łóżku. A panna, *hic mulier* : i bekasy w lot bila, i zajaca szczwała co koń mógł wyskoczyć; istny dragon w spódnicy, a z tem wszystkim urodziwa. Jakżeby ją było sprządz z Panem Łopotem ! Ryś z nią, to dobrana para ; i dla tego też rychło się tak pokochali, że pomimo najpewniejszych nadziei, Pan Łopot odkosza dostał, i wyjechał sobie z Wilna, pomiarkowawszy że chyba szablą wypadnie pannę zdobywać, a to z Rysiem była rzecz trochę ryzykowna. Zostawały jakie takie trudności do przełamania ze strony opiekuna ; ale gdy mu Pan Ryś bąknął, że czy wola stryjowska czy nie, wcześniej lub później panna jego nie ominie, a zatem jeżeli mu będzie nieżyczliwość okazywał, potrafi to odwetować gdy przyjdzie mówić o rachunkach z opieki, tak pana stryja zbił z tropu, że sam mu został swatem. W istocie odwdzieczył się Pan Ryś po ślubie ; najdelikatniej assistując żonie w zakwitowaniu opiekuna ze wszystkiego o co prosił, gdyż i bez tego ledwo nie pańska fortuna dostała się w ich ręce.

Już Książę Chorąży nie żył, a Pan Ryś przeniósł swoją wierność i przywiązanie do Księcia Hetmana, i lubo około dwudziestu folwarków posiadał, nie przestawał siebie liczyć

między sługami Radziwiłłowskimi. Tytułowano go Strażnikiem Mińskim, i był powszechnie poważany w całym powiecie, bo był gościnnym i uczynnym, choć zawsze burzliwym. Mając na przykład sprawę z Księciem Radziwillem Żyrmuńskim, Starostą Lidzkim, gdy umocowany Książę w indukcje przed Ziemstwem Lidzkim, uszczypnął go wzmianką o organach Nieświeżskich, tak się oburzył, iż na ustępie zaczął samemu Księciu cierpkie robić wymówki; a kiedy Książę ufnął w swoje imię, wyrzucił mu że tak długo będąc wykarmiony Radziwiłłowską pieczęcią, nie zachowuje winnego względu dla członka familji z której powstał, Pan Ryś odważył się odpowiedzieć publicznie : — Bylem i jestem sługą Radziwiłłów, ale orłów, a nie kobuzów. Coto Książę ze swoją ladajaką mitrą występujesz, jakbyś był co lepszego ode mnie! Radziwiłłów Panów, to tylko w linji Nieświeżkiej i trochę w Kleckiej znamy; a wy Żyrmuńscy pokażcie Senatora między wami. Książę Chorążę mój nieboszczyk Pan, żadnego z was gołą ręką nie dotknął, ażeby świerzby nie dostać! — i podobnemi przygryzkami tak go wziął oprymować, że biedny Książę ledwo uciekł.

Z początku miał zwyczaj Pan Strażnik do korków żony strzelać; ale ona go od tego odurczyła, bo trafiła kosa na kamień. Razu jednego gdy w sypialni, porwawszy za pistolet zabierał się do korków Jejmości, ona będąc wtedy brzemenną, powiedziała jemu : Jużem cię kilka-

krotnie prosiła, żebyś mnie uwolnił od tych twoich popisów. Idź sobie do masztarni gozdzie kulami zabijać, a moich korków nie psuj. — Jeszcze ten raz ostatni, kochanko. Pozwól wypróbować moich pistoletów. — Ale ta porwała drugi pistolet na skrzyńce leżący i odwiodłszy kurek : — Słuchaj Karolku, mówię, jeżeli mnie korek ustrzelisz, to ci natychmiast takim sposobem pas rozwiążę. — Pan Strażnik myślał że żartuje : paf! do pięty Jejmości i w sam korek trafił; on z pistoletu ubiłby muchę na nosie niedźwiedzia. A Jejmość nie wiele myśląc, jak da także ognia, i rzeczywiście pas mu rozwiązała. Pan Strażnik pochwalił zręczność żony i rączki jej ucałował, ale odtąd rozejm zrobił z jej korkami. Tak dobrane małżeństwo nie mogło się niemiłować wzajemnie : ich życie nawet za dawnych czasów, było do przykładu. To też kiedy Pani Strażnikowa pożegnała męża, powiwszy mu jedyną córeczkę, on ledwo że niezupełnie rozum utracił z żalu, i gdyby nie wielka jego wiara, byłby sobie życie odebrał. Łbem tłukł się o ściany, rady sobie dać nie mógł, więcej roku okrom swojego plebana nikomu się nie dał widzieć, nawet był brodę zapuścił; a tak zaniechał gospodarkę, że gdyby ówczesni słudzy byli takiego sposobu myślenia jak dzisiejsi, majątek w puch rozbiłby został. Zgoła tak zdziwaczał, że familja nieboszczki już zabierała się do odezwania się względem opieki nad dzieckiem i majątkiem, który był pański, bo już z siebie potężny bez

wielkiej pracy sam wzrastał. Nakoniec ocknął się Pan Strażnik ze swojej melancholii. Testament jak się należy sporządził, opiekunem nad sobą i majątkiem dziecka zrobił Pana Podkomorzego Rejtena, a zostawując sobie sto tysięcy do wolnego rozporządzenia, sam wstąpił w Wilnie do nowicjatu Jezuitów. Tam jak mu ogolili brodę, a wzięli go na refleksję, jakoś się opamiętał; bo największy żal się umityguje przy prawdziwej pobożności, i perswazji ludzi roztropnych. Wszakże ja sam więcej jeszcze miałem powodu rozpaczać po mojej Magdusi. Do trzydziestu lat z nią przeżywszy nie tylko że doświadczałem doli pomyślnej, jak Państwo Strażnikowstwo przez te lat kilka co z sobą mieszkali; ale doznałem z nią pospołu i nie małych bied, pokądeśmy do dobrego nie przyszli; a wiadomo że związki serc więcej się ściskają współnictwem niedoli, niż pomyślności. Przecież dusza przepelniona goryczą znalazła nakoniec tyle siły, aby Bogu ołiarować odebrany pocisk, a tem samem bez jakiejś pociechy nie została odprawiona. Tak i Pan Ryś, po gwałtownym żalu tyle się opamiętał, iż nawet poznał że nie był powołany do zakonnego żywota, ale że na świecie wedle woli Boskiej miał szukać zbawienia. Jakoż sami ojcowie Jezuitci przekonali go, że ani zgromadzenie z niego, ani on z surowej reguły pociechy mieć nie będzie. Bo gdyby tylko w stanie duchownym chrześcijanin mógł być zbawiony, toczy się świat za kilkadziesiąt lat skończył, albo należałoby odrzucić

obrzadek łaciński, i wszystkim Unitami zostać dla zachowania rodu ludzkiego. Ależ znowu, gdyby wtedy Bisurmanie napadli, niktby się od jasyru nie uwolnił. Bo kim tu się bronić, nie mając jeno Popów, Diaków, Popowiczów ludzi ani z powołania ani z wychowania nie sposobnych do rycerskiego rzemiosła. A nakoniec kiedy odkąd świat stoi, inaczej się dzieje, więc dowód oczywisty, że wola Pana Boga aby inaczej się działo. Dość że Pan Ryś, że był wspaniałomyślnego animuszu, stu tysiącami nadawszy nowicjat Wileński, aby go na świecie modlitwy ojców nie opuszczały, wrócił sobie zdrów do obszernego majątku, a habit zakonny zawiesiwszy na kołku, *de noviter* wdział kontusz rycerskiego stanu, i z dawną wykwintnością w stroju, często gościł na dworze Nieświeżkim, którym już władał Książę Karol Radziwiłł, świeżo po śmierci ojca wyniesiony na Województwo Wileńskie. I tego pana szczególne a spadkowe łaski uzyskał, nietylko przyjemnością obcowania, ale dowodami niepospolitej przychylności. Gdy bowiem wkrótce śmierć Króla Sasa nastąpiła, a konfederacja w czasie bezkrólewia zawiązana, karząc Księcia Karola za życzliwość dla domu Saskiego, odsądziła go od Województwa Wileńskiego i od wszelkiej własności, jako nieprzyjaciela ojczyzny, Książę po zagranicznych ziemiach tulając się, nie miał innych dóbr oprócz kosztownych sprzętów wywiezionych na prędkę i serc sweich przyjaciół, a te go nie zawiodły; bo każdy wedle

swojej możności o jego potrzebach pamiętał. Pan Ryś był z liczby tych, co się najszczególniej odznaczyli: on na swoje dobra dwakroć sto tysięcy zaciągnawszy, całkowitą kwotę odesłał Księciu do Włoch, chociaż zbyt śliska była nadzieja odebrania kiedykolwiek tej należytości. To też kiedy rzeczy jakoś się ułożyły, a Książę wrócił do obszernego dziedzictwa, i do ojczyzny miłszej mu nad wszystkie dziedzictwa, najściślejszą poufalością wywiązywał się Panu Rysiowi z tak sowitych dowodów przyjaźni, bo czemże innem mógł okazać wdzięczność, tak możnemu obywatelowi, któremu już wówczas rachowano około dwóch kroć sto tysięcy intraty. Pan Strażnik mając jedynaczkę, a nadto miłując pamięć żony, by w powtórne związki miał się pętać, sprowadził Madam, chociaż francuzkie ale bardzo roztropne, na nią zdał wychowanie Panny Strażnikówny, ba nietylko wychowanie ale cały dom; a sam ciągle w Nieświeżu bawił i szcześliwie trafiwszy na sługi którym mógł zawierzyć, kiedy niekiedy dojeżdżał do rozmaitych swoich dóbr, dla dowiedzenia się naprędce co się z gospodarką działo. Tak tedy sobie hulał z bandą Albeńską, bądź towarzysząc Księciu Wojewodzie na łowach, bądź tańcząc na często powtarzanych balach zamkowych, bądź wszystkich zadziwiając wykwintnością ubioru. Już za mojej pamięci, bywało, czy na wieczory bachusowe, czy na S. Karol, czy na inne jakie gale, nikt się naprzód dowiedzieć nie może, jak ma Pan Ryś wystąpić, a jak

wystąpi, zawsze na nim coś nowego i nieprzewidzianego. To dopiero naśladowają go wykwintnisie: bo kto z niego nie brał wzoru, tego nasze szlachcianki i panie, nie miały za gustownie odzianego. Zgoła on był twórcą mód Nieświezkich. Pinduszki cośmy wszyscy, zaczynając od samego Księcia Wojewody, więcej dwóch lat nosili, były jego wymysłem.

Razu jednego, z powodu bierzmowania młodego Księcia Hieronima, którego Książę Wojewoda był bratem i opiekunem, gdy miała być uczta z tańcami w Nieświeżu, wszyscy ciekawi byli jak wystąpi Pan Ryś; bo wiadano że w podobnych okolicznościach umiał zawsze coś wymyślić, a modnisie Nieświezey, jakoto P. Michał Rejten, P. Leon Borowski, P. Piotr Wiazewicz i inni, starali się mieć to co i on na sobie. Ale starali się napróżno, bo zachowywał sekret najściślejszy, a nie było sposobu jego szatnego podkupić, raz że był szczerze przywiązany do swego pana, powłóre że się go obawiał jak ognia. Otoż nie wiem jakim środkiem, ksiądz Krysztof Szukiewicz, nauczyciel Księcia Hieronima, dowiedział się, ale w sam dzień bierzmowania, że Pan Ryś miał wystąpić na wieczorne tańce w butach z najpiękniejszego żółtego atlasu, które na sprzączeczce miały być ściśnione poniżej kolan, aby mu gładko wyglądały z pod kusego kontusza. Namówić współzawodników wykwintności, aby w podobnem obuwiu wystąpili, było już zapóźno, gdyż nie wystarczało czasu na sporządzenie tego

stroju; ale ksiądz krotofilny robi mu następną psotę. Między pokojową szlachtą Księcia Wojewody, był Pan Tadeusz Scypjon, ze starożytnego domu, bo aż od dawnych Konsulów Rzymskich wyprowadzał swoją procedencję, ale tak ubogi, że jego matka żyła na gruncie Nieświezkim z ordynarji, którą jej wyznaczył Książę, zawsze protektor podupadłej szlachty. Pan Tadeusz utrzymywał się ze szczupłej laski co ją jako pokojowy pobierał, a przytem że miał piękną rękę, iż jego pismo za istny sztych uchodzić mogło, pisze bywało supliki do Księcia od poddanych bojarów, Żydów, i innych podwładnych, z czego także miał siaki taki przychód. Ale grosz grosza nie dopędzał, bo trzeba było codzień odziewać się przyzwoicie, a ubogą matkę czem mógł wspierał. To był całą gębą poczciwy i szlachetny chłopiec. Od kilku miesięcy jednak szły mu interesa pomyślniej, gdy Książę upodobawszy sobie jego pisanie, zlecił mu aby Księcia Hjeronima uczył formować charakter; przez co też codziennie miewał stosunki z księdzem Szukiewiczem. Nietrudno było nakłonić do figla dziewiętnastoletniego młodzieńca, zwłaszcza takiego co w wesołości celował. Z namowy więc księdza, kiedy goście i domownicy zaczęli się zbierać na wieczorne assamble, Pan Scypjon w przedpokoju między liberją schowany, z kwaczykiem w rękę, i z garnkiem pełnym dziegciu, czatował na Pana Strażnika jak wyżeł na dubelta. Wechodzi nareszcie Pan Ryś, z miną gęstą, cały lskniący

się od złota i szkarłatu; jedna ręka oparta na karabeli w jaszczur oprawnej, druga przy prawym boku pięści kutas od czapki; łeb do góry zadarty. A tu przy podwojach Pan Scypjon kwaczykiem bryzg! bryzg! po bótach, że aż zrobiły się pstrokate. Pan Ryś nie wiedząc co się z nogami dzieje, dalej sobie do sali tak oświeconej, iż jaśniej było niż wśród dnia, wita się w prawo i w lewo, i nisko skłoniwszy się Księciu, dawaj koperczaki stroić do dam, zaczynając od siostr Książęcych. Wtem słyszy w kolo siebie śmiech, nie wie co to znaczy; aż JW. Jeneralowa Morawska, siostra Księcia Wojewody, do której właśnie się wdzięczyl, odzywa się: — Mój Strażniku, coto kolo ciebie czuć dziegieć! Czyż tobie na inne perfumy nie wystarczyło? — Pan Ryś zmieszał się, spuszcza oczy, i jak spojrzy na swoje buty, desperacja! Pobladł ze złości i wstydu, bo o ubior dbał jak o własną skórę, i tak się zaciął, że słowa jakby skrzepłe z gardła mu wyleźć nie mogły. Nakoniec zawołał: — Kto mnie ukrzywdził! — A tu wszystkim jeszcze większy śmiech; Książę aż plakał ze śmiechu, patrząc na niego. Dopiero Pan Ryś rozzłościł się bez miary, i Bóg pamięta co wygadywał. — Biada temu, mówił, kto mnie obraził: z pod ziemi go wydobędę. Jeżeli to się zatai, to jakem Sodalis, choćby cały Nieśwież miał przejść przez moje ręce, z każdym będę się strzelał i rąbał, póki nie trafię na dziegciarza! — Te i tym podobne nedorzecznosci prawil; a im się więcej

gniewał, tem więcej się śmiano, że aż zaczął trząść się od stóp do głowy, jakby wpadł w niemoc Świętego Wita, i zniknął z sali, zawsze odgrając się na wszystkich, czem nietylko nie zmieszał kompanji, owszem wtrójnásób jej wesołość powiększył. Ale nazajutrz, jak począł robić kweryndy, już nie wiem jakim sposobem, dowiedział się jednak, że to wszystko było sprawą księdza Szukiwicza i Pana Tadeusza Scypjona. Do księdza nie było sposobu czepiać się, bo ksiądz nie dobedzie korda, którego nie nosi, tylko za napaść może wystąpić z kłatwą, od której krzyżową sztuką ani młynkiem się nie zasłonisz; całkowitą więc złość ku Panu Tadeuszowi obrócił, i na dziedzińcu zamkowym napotkawszy go, w obliczu prawie całego dworu, okropne wymówki jał mu robić. Pan Tadeusz z początku przyjął je pokornie sercem, i powiedział: — Ja sam to znam, że młodszy starszego, a prosty szlachcic urzędnika, zbytnią konfidencją obrażając, podrwilem głowę, i zato najuniżeniej przepraszam; bo cóż więcej mogę uczynić? nie jest w mocy mojej cofnąć co się już wykonało. Odpuśćże mnie Panie Strażniku swawolę, dla miłości Boga; a ja mu uszkodzone bóty odsluzę i odmodłę. — Ale na to Pan Strażnik zapamiętały: — Mnie nie o bóty chodzi, ale o śmiech ludzki coś na mnie ściągnął. Ja twoich modłów i posług nie potrzebuję: na twoją skórę mam chrapkę. A że ci jej dotąd nie wytatarowałem, to dziękuj mojemu umiarkowaniu, że pod boki pierwszego Senatora

naszej prowincji, burdy nie chcę robić. Ale życzę ci gałganie, jak najdłużej trzymać się kłamki książęcego dworu, i z Nieświeża nie wyjeżdżać; bo dzień w którym przestaniesz być sługą Księcia Wojewody, będzie wigilją dnia tego, w którym pięćset łóz dostaniesz. — Dopiero Pan Scypjon uczuł, że nie cygańska ale stara szlachecka krew po jego żyłach krąży. — Jak ty śmiesz, odezwał się, batogami straszyc szlachezca, co nie twój chleb je? Żeś się wzmógł fartuszkowym majątkiem, to myślisz że tobie wszystko wolno? A przypomnijno sobie, że twój ojciec karbował ci skórę przy swoich organach, kiedy mój był namiestnikiem kawalerji narodowej, gdzieby ciebie i na luzaka nie przyjęto. Otoż żebym dowiódł, że twoje pogroźki lekce sobie ważę, to lubo kawałka chleba nie mam, zaraz Księciu Panu podziękuję, i ciebie zmuszę byś mi stanął, jak przystoi temu, co się mieści w stanie rycerskim. A jeżeli mi nie staniesz, zaniechawszy ostrzyć zęby na moją sławę; tedy plac ostrzelam, ogłoszę ciebie po całej Litwie za infamisa, i choć piechotą od zaścianka do zaścianka chodząc opowiem szlachcie, że zaufany w pieniądze co ci Pan Bóg dał, lepszego od siebie szlachezca batogami straszysz, chleb mu odebrawszy: a wszyscy pójdą za mną, bo w mojej osobie całą ubogą szlachtę pokrzywdziłeś! — Pan Strażnik porwał się, i ledwośmy przegrodzili od niego Pana Tadeusza; a ten w istocie poszedł do Księcia, tam padłszy mu do nóg opowiedział całą rzecz,

i podziękował za służbę tłumacząc się, że dółra sława która składa całkowitą jego ojcowiznę, nie pozwala mu służyć Księżciu, pokąd nie odwetuje swojej krzywdy.

Nie trudno było Panu Scypjonowi przekonać Księcia, tak ćwiczonego w szlacheckich prawidłach. Książę się rozczulił, tym uczciwym sposobem myślenia młodzieńca, i na dowód że jego usługi były mu wdzięczne i pożyteczne, najpiękniejsze świadectwo mu podpisał. Kazał potem odliczyć jemu parę tysięcy, jako *deservita merces*, z zapewnieniem, iż o losie jego matki pamiętać nie przestanie. A choć przyjął na siebie postać, jakby o niczem nie słyszał jednak Panu Michałowi Rejtenowi powiedział: — Powiedz, panie kochanku, Panu Karolowi że wiem o wszystkim, i wolalbym żeby się przeprosili; wszakże jeżeli wola spotkać się po rycersku, niech i tak będzie. Kto chce niech wojuje orężem, a Panu Bogu zda liczbę za jaką wojował sprawę: mnie nie do tego; ale kto ukrzywdzi Scypjona na sławie, zapomniawszy o jego szlachectwie, ja to za moją własną krzywdę poczytam, bo sam jestem szlachcicem; a kiedy kto się odgraża do nahajów dufając że mocny, to i ja nie słaby! — Posławszy potem po księdza Szukiewicza, powiedział mu: — Waszeć biedy narobił, panie kochanku, starajże się to odrobić.

Perswazja Pana Michała Rejtana, a zapewne i głos sumienia, przekonały Pana Strażnika, iż zaniechał myśleć o pokrzywdzeniu Pana Scy-

pjona; ale z niecierpliwością czekał wyzwania, bo czując się być upokorzonym, okropnie się zawział. Niedługo czekał, Pan Scypjon udawszy się do Pana Borejszy, Porucznika chorągwi Księcia Wojewody, który z jego ojcem kilkanaście lat kolegował, kiedy oba byli towarzyszami, objaśnił mu wszystko co do najdrobniejszych szczegółów, i uprosił go aby raczył od niego kulkę zanieść Panu Strażnikowi. Pan Porucznik nie odmawiając tej posługi synowi kolegi, poszedł w poselstwie do Pana Rysia; że zaś miał z nim dawną zażyłość, a do tego był człowiekiem dojrzałym, walecznym, i w podobnych wypadkach doświadczonym, nie zaniedbał mu przekładać: iżby najwłaściwiej było żeby Pan Scypjon, jako już go raz publicznie przeproszał za psotę, tak znowu swe kroki do pojełniania powtórzył, do czego ma nadzieję jego nakłonić, byle ze swojej strony Pan Strażnik dał słowo, że się da przeprosić, i wzajemnie przeprosi za nieprzyzwoite wymówki i pogrożki uczynione z mocnego uniesienia, a potem żeby się uścisnęli, nie dopuszczając wspólnego a ciężkiego grzechu, by za bóty chociaż atlasowe, krew chrześcijańska i szlachecka przelewać się miała. Ale Pan Strażnik kulę przyjął, a o niczem więcej mówić sobie nie dał. Gdy układali się o czas, miejsce i sposób pojedynku nadszedł ksiądz Szukiewicz. Pan Strażnik powitał go lubo z sercem kwaśnem, jednak z powierzchownością dość uprzejmą; ale skoro ten zaczął perswadować, aby niewinnej swa-

woli, której sam przyznał się być pierwszą pobudką, nie doprowadzał do następstw krwawych, ze zgorszeniem ludzi pobożnych i z obrazą Pana Boga, przerwał mu Pan Ryś mowę temi słowy: — Roboczy z Waszeci człowiek, kiedy co dzień czytając mszę świętą, i odmawiając swoje pacierze, a do tego dozierając Księcia Hetmanowicza, aby się dobrze uczył, a nie swawolił, i później mogła mieć z niego pociechę Rzeczpospolita, jak ją zawsze miała: z jego przodków; jeszcze znajdujesz dość czasu, nademną rozciągać nieproszoną opiekę. Chociaż nie czuję się być winnym zdawać przed Waszecią liczbę z moich postępków, jedynie przez grzeczność powiem mu, że mam Scypjona za uczciwego chłopca, choćby dla tego że mnie wyzwał, tak dalece że gdybym miał syna, cieszyłbym się widzieć go we wszystkim do niego podobnym. Bo co prawda, to prawda. Tém samém że mu stoję, widać że go szacuję; ale żebym się oczyścił od pojedynku przeprosinami, tego się nie doczeka. Co się powiedziało, czy to było dobrze czy źle, to do mnie należy: a jako od urodzenia nigdy z bojaźni nie cofnęło się, co się raz wyrzekło; tak też nowego trybu życia nie przyjmę, kiedy wiek nieco czuprynę przypruszył. Zatem mój miły księże, wracaj do swego brewjarza, i nie miej obawy, abym ci przeszkadzał go odmawiać mojami radami. — Panie Strażniku Dobrodzieju, wybaczej że się do tego nie przyznaję, bym się w cudzą rzecz wtrącał: bo nie tylko powołanie

moje do tego mnie zmusza, ale każdy chrześcijanin winien ująć się za zniewagę praw kościelnych i Boskich. Dość pierwszy katechizm otworzyć, żeby znaleźć, jak Pan Bóg uważa mężobójców. Tylko proszę mój księżu nie uczyć mnie katechizmu. Z łaski Pana Boga, i świętej pamięci ojca mojego, umiałem co potrzeba; a więcej roku przesiedziawszy w nowicjacie, mógłbym dziś jeszcze kogoś nauczyć. Wiem co kapłanowi, a co człowiekowi rycerskiego stanu przystoi. Bić się na wojnie po żołniersku, albo w pojedynku po szlachecku, to inna; a zdradą kogo kozikiem zakłuć, to znowu inna. Ja dobry katolik, a do tego sodalis, przy łasce Pana Jezusa i Najświętszej Panny, w czem się należy nie przeszkobię: wiem że nie Turczyn, nie Żyd, nie pies się pojedykuje, jeno chrześcijanin i szlachcic. Zresztą, nie ja wyzwałem, ale mnie wyzwano: a zatem ruszaj sobie ze swojemi kazaniami do Pana Scypjona. Wszak nie ten co jest pod kondemnata, z niej kwituje, ale ten co ją otrzymał. A jeżeli pozwolisz mi się wywzajemnić radą, toć życzę i jemu daj pokój: bo że Księżu Wojewoda Waszeci dobrze płaci, to nie na to byś nas doglądał.—Więc Pan Strażnik klątwę za nie sobie ważysz? Przecież i dzieci wiedzą, że czy kto ofiaruje, czy przyjmuje wyzwanie, ten pod klątwą kościelną. — To już z nowego bicia trzasnąłeś! szczęście żeś nie na półgłówka natrafił. A wiedz o tém, że ja twojej klątwy się nie obawiam; a co się tyczy kościelnej, z łaski Pana Boga nadto się wywiązałem

Kościółowi, by miał mnie od siebie odłączać : bo gdyby Waszec w chleb kościelny opatrzone na tyle tylko, ilem Kościółowi wyświadczył, nie miałbyś już potrzeby bakałarzować. Co się nie mówi by się chwalić, lub jak by się żalowało tego co się zrobiło, i owszem, da się jeszcze więcej swojego czasu zrobić ; ale dla tego żeby dowieść że bredzisz. Na sam nowicjat wileński, z kąd wychodzili księza trochę większego zdania niż waszecine, sto tysięcy odkazałem i odliczyłem ! nie z fartuszkowego majątku jak śmiał szczeakać ten śmierzduch Scypjon, do którego to nic nie należy, (dam ja jemu fartuszkowy majątek), ale z własnej mojej krwawizny. OO. Jezuici mnie nie dadzą zaginać dla tego, iż nie wierzę że Pan Bóg chce abym się zbłąznił. O to pokój ; a niech Ksiądz Pan, czy Pan Ksiądz, przyjmując oświadczenie mojej wdzięczności za jego nawiedziny, raczy także przyjąć moją prośbę by te nawiedziny skrócił, bo nie mam czasu dłużej mu służyć. I tak księdza odprawił z niczem.

Pan Strażnik nie szukał sekundanta na dworze Nieświeżkim, bo pomiarkował że żaden z nas nie był rad pomagać przeciw koledze w istocie pokrzywdzonemu, za którym jak wiadano, Książę nasz Pan się oświadczył. Wezwał więc Pana Moniuszkę Majora w pułku wielkiej buławy litewskiej, godnego i zasłużonego męża. Ten z Panem Borejszą umówił plac i warunki pojedynku, który się odbył nazajutrz, na obszer-nem błoniu między Kleckiem a Dunajczycami.

Wielu z nas udało się na to widowisko, ponieważ Pan Tadeusz nas wszystkich zaprosił byśmy byli świadkami, jak nasz niegdyś kolega umie swojej krzywdy dochodzić, mimo siebie puszczając iż sprawa była z takim co miał i łwie serce i lwią siłę. Wedle umowy mieli walczyć konno, każdy z jednym pistoletem w rękę i z szablą na temblaku. Gdyby ogniste bronie obudwom spudłowały, szabla miała ostatecznie rzecz całą rozwiązać. Jak się zjechało, broń ponabijano, a zapaśnicy siedli na koń, jeszcze po raz ostatni usiłowano ich pojednać; ale gdy oba oświadczyli że przyjechali na plac bitwy, a nie na plac mowy, sekundanci rozstawili ich o pięćdziesiąt kroków. Pan Moniuszko przeżegnawszy się powiedział te słowa: « Protestuję się przed Bogiem i przed wami bracią szlachtą, że nie z powodu jakiej niechęci przeciw Panu Scypjonowi, ale dla tego pomagam tu W. Strażnikowi Rysiowi, iż on będąc wyzwanym a nie wyzywającym, żądał po mnie tej rycerskiej i osługi, której jako szlachcic i żołnierz, przyjacielowi odmówić nie mogłem, a do ostatniego momentu miałem nadzieję strony do zgody nakłonić, jako biorę was wszystkich za świadków, iżem ku temu żadnej usilności nie zaniedbał. Gdy przeto przychodzi do bitwy, do której końca assystować winienem, proszę was o przyczynę do Pana Boga, aby nie obciążył sumienia mojego tą krwią, co się dziś przeleje. » — A Pan Borejsza, także przeżegnawszy się, do nas tak przemówił: « Lubo jestem obrońcą strony

wyzywającej, protestuję się przed Bogiem i wami bracia szlachtą, że jeżeli wpływam do tego pojedynku, to nie przez brak miłości bliźniego, ale owszem żeby dopomódz synowi nieboszczyka mego kolegi, który został skrzywdzony. A że mimo przekonanie o słuszności jego sprawy, nie wprzód dopuściłem pojedynku, aż wyczerpawszy wszelkie godziwe środki do pojednania stron; zatem upraszam was wszystkich tu przytomnych, abyście za mną złożyli świadectwo na ostatnim sądzie, teraz zaś westchnęli przynajmniej do Pana Boga iżby mi mojego uczestnictwa za ciężki grzech nie poczytał. » Potem za danym znakiem oba zapaśnicy przeżegnawszy się, cwałem na siebie natarli. Bitwa i przez jedno Zdrowaś Marja nie trwała. Bo gdy bezskutecznie dawszy ognia z pistoletów, do palasza się porwali, Pan Strażnik został zadraśnięty po ramieniu jakby piórkiem, ale jak pałnął szablą na odlew po rękę Pana Tadeusza, ręka mu z palaszem padła na ziemię, i on sam w kilka chwil omdlały z bólu powalił się z konia. My wszyscy pobiegliśmy mu na ratunek z lekarzem, którego mieliśmy z Klecka na każdy wypadek. Ledwośmy go ocucili że trochę przytomności odzyskał, i zawieźliśmy go do Klecka, z obandażowaną raną, by tam ulokować u lekarza, który się podjął już nie rękę mu wrócić, bo ta aż w dzień ostatniego sądu wrócona mu będzie, ale choć przy takim ciężkiem kalectwie życie mu zachować.

Ile dotąd gorszył nas Pan Strażnik swoją zaciętością, tyle nas zbudował potem czułym sercem. Jeszcze na placu załamywał sobie ręce z żalu, a ukląkłszy przed biednym Tadeuszem z oczami zalanemi łzami, błagał go by mu odpuścił swoje nieszczęście. Później osiadł w Klecku u lekarza, i póki trwała niemoc Pana Scypjona, o krok go nieodstąpił, wszelkie posługi mu czyniąc jakby jaki pacholek. Gdy nareszcie do zdrowia przyszedł, (jeżeli zdrowiem godzi się nazywać kalectwo które ubogiemu szlachcicowi wszelki sposób do życia odejmuje) zabrał go z sobą na wieś do swojej córki, tam go z nią zapoznał, i po kilku tygodniach powiedział mu jednego razu : — Słuchaj Panie Tadeuszu, ja ci rękę odciałem, a Bóg świadek że mojemi obiema chciałbym ci tę jedną wynagrodzić, bo krzywda twoja ciąży na mnie, jak kamień młyński. Ale przyjm w restytucji rękę mojej córki i zostań moim synem. Byłem ubogi jak ty, kiedy jej matkę wziąłem a przecie daj jej Boże być z tobą dłużej, ale nie więcej szczęśliwą, tylko ile ona była ze mną. — I nie dawszy mu czasu odpowiedzieć, zawołał córkę oświadczając jej swoją chęć. Panna Strażnikówna że była po chrześcijańsku wychowana, wiedząc iż głos rodziców jest głosem Bożym, i że wielkie błogosławieństwa spadają na dzieci spuszczające się w postanowieniu swoim na ich wolę, odpowiedziała skromnie, że jak dotąd nie sprzeciwiała się rozkazom ojca kochanego, tak nigdy sprzeciwiać się mu nie będzie.

Niewiele ją ta uległość kosztowała, bo Pan Tadeusz lubo pozbawiony ręki, i sercem i głową, i urodą swoją, łatwo mógł się podobać. Na tak pochlebne oświadczenie, padł on do nóg ojcu swojej narzeczonej, a kilka niedziel ledwo upłynęło, zostając szczęśliwym małżonkiem cnotliwej i urodziwej panny, został z chudego pacholka spadkobiercą jednego ze znaczniejszych na Litwie majątków.

Huczne były zaślubiny, które Książę Wojewoda zaszczycił przytomnością swoją ledwo nie z całym Nieświeżem. Pan Strażnik dzieciom odkazał wielką część swoich dóbr, i lat kilka patrzył na ich powodzenie; a gdy przyszła na niego kolej wszystkim ludziom przeznaczona, uległ temu prawu ogólnemu, z przytomnością i zaufaniem w miłosierdzie Boże, bo do wieczności długo i dobrze się gotował. Po jego śmierci reszta dóbr spadła na zięcia i córkę. Jednak za życia jeszcze swego miał pociechę widzieć sypiące się zaszczyty na Pana Tadeusza Scypjona, bo kiedy mu dawał ostatnie błogosławieństwo, zostawiał go już Starostą sądowym Lidzkim, i kawalerem orderu św. Stanisława.



KONIEC TOMU SZÓSTEGO.

Paris, w drukarni braci Rouge, Dunon i Fresné,
ulica du Four-Saint-Germain, 43.

SPIS RZECZY.

TOM PIERWSZY.

Do czytelnika i do autora kilka słów wydaw- cy	3
Przedmowa do wydania drugiego ...	5
I. Kazanie konfederackie.....	35
II. Pan Dzierżanowski	43
III. Pan Bielecki.....	49

TOM DRUGI.

IV. Książę Radziwiłł Panie kochanku ...	3
V. Ksiądz Marek	25
VI. Pan Ogiński	37
VII. Tadeusz Rejtan.....	49

TOM TRZECI.

VIII. Pan Rewieński.....	3
IX. Trybunał lubelski	25
I.....	25
II.....	46

TOM CZWARTY.

X. Sawa	3
XI. Pan Czapski.....	23
XII. Sicz Zaporozka.....	36

TOM PIĄTY.

XIII. Pan Leszczyc.....	3
-------------------------	---

XIV.	Pan Wołodkowiez	12
XV.	Pan Borowski	28
XVI.	Palestra staropolska	51
XVII.	Ożenienie się moje	65
XVIII.	Klasztor surlański	77

TOM SZÓSTY.

XIX.	Pawlik	3
XX.	Pan Ryś	33



340825

W KSIĘGARNI LUXEMBURGSKIEJ.

ALBUM FOTOGRAFICZNE.

ANTONIEGO OLESZCZYŃSKIEGO.

36 sztuk; razem 26 fr.; każda osobno 75 cent.

Herb Królestwa Polskiego 1548 r. — Kordecki, 1655. — Najświętsza Panna według książki do nabożeństwa Królowej Marii Leszczyńskiej. — Filozof Cieszkowski, profesor Kunat, muzyk Sowiński. Bohdan Zaleski, Adolf Ciechowski, doktor Raciborski. — Abraham Stern, matematyk. — Płasko-rzeźba w Janowiec. — Jan Kiliński z facsimilem. — Godebski. — Ant. Gorecki. — Adam Mickiewicz w 1826, z zamkiem Malborskim, portret Konrada Wallenroda, puhary ołtarzowane Mickiewiczowi, jeden przez przyjaciół rosyjskich w Moskwie w 1829 r. drugi przez emigrantów polskich w Paryżu. — Ks. A. Jelowicki. — Bona Słorza. — Kościuszko. — Thibaut de Champagne. — Masko pośmiercina Niemcewicz, pomnik Niemcewicza i Książewicza przez W. Oleszczyńskiego. — Staloryt Finiguerry. — Ks. A. Czartoryski. — Doktor Sew. Gałęzowski. — Kapucyn Topolski. — Karol Lewitton. — Julian Słowacki. — Ks. Józef Huber. — Rycina na korzyść pogorzelców krakowskich. — Facsimil manuskryptu statutu książąt mazowieckich z 1450 r. — Wino. Matuszewicz. — Facsimil rysunku Krzysztofa Colomba. — Jernak zdobywca Syberji, 1584. — Stefan Czarniecki. — Ks. H. Kajsiewicz. — Plan bitwy pod Wiedulem w 1683 r. — Jan Paweł Woroniec. — Medaljon J. U. Niemcewicz, Barzykowski, Dendiński. — Senator Wodziński. — Mapa wykonana w 1452 r. — Jeneral Ludwik Pac. — Bracia Antoni i Władysław Oleszczyński. — Pamiątka wdzięczności.